



EMMA GOLDRICK



Marzycielka

tytuł oryginału Loveable Kate Lovewell

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Katie Lovewell zapadła w sen w dniu pogrzebu ojca. Przebudziła się po dziewięciu miesiącach, zdumiona tym, co się stało z jej życiem. Och, nie zasnęła tak, jak to bywa w bajkach, kiedy czeka się na pojawienie wymarzonego księcia. Zapadła raczej w stan letargu, w którym jadła, spała i pracowała nie rozumiejąc i nie odczuwając otaczającego ją świata. A gdy się ocknęła, wszystko wyglądało inaczej.

Katie zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego, poza tym że potrzebowała pieniędzy, poszła na to przyjęcie. Starą rezydencję, usytuowaną na stoku Massanutten Mountain, powyżej południowego rozwidlenia Shenandoah River, szczelnie zapelnili goście, których w większości nie знаła. Zaproszenie od pani Fessenden wydawało się początkowo wyzwaniem. Szansą przyciśnięcia Petera do muru. Teraz jednak robiła, co mogła, aby uniknąć spotkania z nim i z kimkolwiek innym. Nie miała na to najmniejszej ochoty.

Kiedy wreszcie falujący tłum przeniósł się z basenu do dwóch bufetów w sali balowej i została sama, usadowiła się ostrożnie w jednym z klubowych foteli. Wygładziła starannie ciemnoniebieską spódnicę i rozprostowała koronki białej bluzki. Na przyjęciu wszyscy, prócz niej, ubrani byli w dzinsy, bikini i wystrzępione szorty. Zawsze ją dziwiło, dlaczego ludzie bogaci tak wiele wydają na proste stroje.

Z ogrodu dochodził ją wiosenny świergot ptaków.

Zamknęła oczy, wyciągnęła szpilki podtrzymujące długie, jasne włosy i odchyliła głowę, aby przemyśleć wszystko jeszcze raz.

Wiem dotarł do niej cieniutki głosik: Ty jesteś opiekunką do dzieci?

Gwałtownie otworzyła oczy. Ujrzała małą dziewczynkę, niepewnie patrzącą w zielone oczy Katie. Nieposłuszny węzeł brązowych włosów, okrągła, sympatyczna twarzyczka, bardzo drobne ciało - i uśmiech tak wdzięczny, że Katie natychmiast się rozczuliła.

- Opiekunką? Czy wiesz o jakimś dziecku, którego trzeba popilnować?

Nie sposób było nie uśmiechnąć się do tak miłego dziecka. Dziewczynka miała może osiem lat. I szczyrby między zębami.

- Ja... mój tatuś powiedział, że potrzebna mi opiekunka, a sam... o, właśnie idzie!

Katie rozejrzała się. Ścieżką nadbiegał jakiś mężczyzna. Wyglądał groźnie. Duży, silny, wysoki, miał czarne włosy, czarne oczy i orli nos. Ubrany był w klasyczny garnitur z kamizelką. Katie uśmiechnęła się i przekręciła pierścionek zaręczynowy na palcu.

- Hej, jak się nazywasz? - Miły baryton zupełnie nie harmonizował z oczami,

- Ja?

- Przecież nie mam na myśli Nory. Jesteś tu tylko ty.

- Rzeczywiście. Mam na imię Katie.

- Katie, chciałbym, żebyś przez chwilę popilnowała Nory. Muszę zamienić parę słów z Fessendenem. Dobrze?

Groźny wyraz twarzy znikł, zastąpił go uśmiech taki sam jak uśmiech dziewczynki i wywołujący ten sam skutek. A więc jestem opiekunką do dzieci, szepnęła do siebie. Czemu nie? Właśnie to potrafię robić najlepiej!

- Z przyjemnością popilnuję... Nory? - Dziewczynka uśmiechnęła się i zbliżyła do niej. Mała rączka przesuwiała się po poręczy fotela, aż wśliznęła się pod łokieć Katie i pozostała tam. Mężczyzna pokiwał głową, uśmiechnął się czarująco jeszcze raz, odwrócił i pognął w kierunku domu.

- Niesamowite! - roześmiała się Katie.

- Właśnie to mówią wszystkie kobiety - oświadczyła uroczyście Nora. A potem dodała z dumą: - To właśnie mój tatuś.

- Niesamowite - powtórzyła machinalnie Katie. - Czy on ma jakieś imię?

- On? Powiedziałam ci. On nazywa się tatuś.

- Tak, widzę. Bardzo odpowiednio. A jak ty się nazywasz?

- Mam na imię Lenora, ale nikt tak do mnie nie mówi z wyjątkiem dyrektorki szkoły, kiedy jest na mnie wściekła. Wszyscy mówią Nora.

I co na to powiedzieć! Katie zaśmiała się cichutko. Nie ulegało wątpliwości, że biedna dyrektorka nierzadko miała do czynienia z „Lenorą”. W tym miłym dziecku siedział jakiś diabełek.

- Ja mam na imię Katie albo Kathleen. Jak ci się podoba?

- Katie? Nie słyszałam nigdy o takim imieniu.

- Nic dziwnego - odpowiedziała zdawkowo, przypominając sobie nagle własne problemy. - Nie jest teraz zbyt popularne.

- Jesteś ładna, Katie.

- Na pewno dobrze mi się przyjrzałaś, Noro? Przecież jestem za wysoka.

- Mój tatuś lubi duże dziewczyny.

- A więc dlatego twierdzisz, że jestem ładna?

- Właśnie.

- W porządku - roześmiała się Katie. - A więc jestem ładna. Ale trzymajmy to w sekrecie, dobrze? Popatrz na te urocze ptaki.

Dziecko zareagowało żywo, ale cichutko. Przez chwilę słychać było tylko dochodzące z ogrodu ćwierkanie.

Szelest trawy u stóp wzgórza zaniepokoił je obie. Ukryta tam przepiórka nagle wzbiła się w powietrze. Za nią do lotu poderwało się stado jaskółek.

- Co się dzieje? - spytała dziewczynka, przytulając się do Katie.

- Nie wiem. Może ktoś wchodzi na wzgórze. - Katie poderwała się, zasłoniła dziecko i zaczęła razem z nim wycofywać się w kierunku rosnącej w pobliżu jabłoni. Starła się nie przestraszyć dziewczynki. Kiedy usłyszała ujadanie, domyśliła się, o co chodzi.

- Spróbuj wspiąć się na drzewo, Noro - powiedziała i podsadziła dziecko. - Nie mogłabyś wejść jeszcze trochę wyżej?

- Jasne. Nic łatwiejszego - odpowiedziała Nora i zaczęła prędko wdrapywać się ku górnym gałęziom. Katie odwróciła się i spojrzała w kierunku wzgórza. Właśnie to przeczuwała. Jakiś pijany głupiec otworzył zagrodę, w której trzymano dwa psy obronne. Wbiegały teraz do ogrodu z nosami przy ziemi.

Trudno było zachować zimną krew. Żywo pamiętała dzień, w którym wyszła na spacer z Shep, małym szkockim owczarkiem. Wtedy również ktoś wypuścił psy i Shep oddała życie, by umożliwić swej pani ucieczkę.

- Teraz ja - zawołała Katie do dziecka, zręcznie podciągając się na gałęzi rosnącej prawie dwa metry nad ziemią. Gdy unosiła stopy, psy były już prawie przy niej, skacząc i ujadając wściekle.

- Wyglądają groźnie! - zawołała niespokojnie Nora. - Mam nadzieję, że nie umieją wspinać się na drzewa?

- Nie, nie umieją - odpowiedziała Katie ze sztucznym spokojem, choć serce skoczyło jej do gardła. Może wołać o pomoc? Ale to przeraziłoby Norę.

Krzyk na szczęście nie był potrzebny. Samo ujadanie było jak alarm. Na wzniesienie wszedł krępy ogrodnik, Evvie Hamilton, przyjaciel jej ojca i stary znajomy. Uzbrojony był tylko w ultradźwiękowy gwizdek i parę smyczy. Zapewne zagwizdał, bo psy nadstawiły uszu i zwróciły ku niemu łby.

Katie odprężyła się. Spojrzała po sobie. Nie wyglądała najlepiej. Spódnica zwinięta wokół talii, w rajstopach puściło oczko, w bluzce brakowało guzika, a rozpuszczone włosy opadały w nieładzie. Sprawdziła, czy nic się nie stało dziewczynce i zaczęła doprowadzać się do porządku.

Wtedy właśnie usłyszała dochodzący od strony wzgórza przeraźliwy krzyk. Urażony w swej dumie mężczyzna, pomyślała. Po stoku wielkimi krokami zbiegał ojciec Nory, drewnianym młotkiem od krykieta rzucając wyzwanie psom i światu.

Zwierzęta były kompletnie zbite z tropu. Człowiek z bronią prowokował do ataku, ale nieubłagany gwizdek nakazywał odwrót. Wolno wycofywały się do stóp wzgórza, wciąż odwracając pyski w kierunku mężczyzny.

Gdy zagrożenie minęło, Katie oparła się o pień drzewa. Roześmiała się. Dziewczynka też zaczęła się śmiać. Mężczyzna usłyszał je, zwolnił i wreszcie stanął. Psy wciąż się wycofywały, aż dotarły do Hamiltona, który wziął je na smycze.

- Nic panu nie jest, panie Lee? - zawołał dozorca.

- Nie mogę złapać tchu - odpowiedział ojciec Nory - ale myślę, że to przeżyję.

Zmierzał teraz wolno w kierunku drzewa i patrzył w górę.

- Urocze. Czy zamierzacie tam siedzieć cały dzień?

Katie bezskutecznie walczyła ze spódnicą. Jej twarz spłonęła rumieńcem. Trudno było zachować skromność siedząc na drzewie w krótkiej spódnicy. Całkiem się skompromitowała. I to już drugi raz tego dnia!

- Skoro się pan napatrzył, może pomoże nam pan zejść? - podsunęła zimno.

- Właśnie to chciałem zaproponować. Zachwycające... nogi. - Wyciągnął ręce. - No, proszę skakać.

- A pan mnie złapie? - Zaczynało to być zabawne. Musiała bardzo się starać, żeby zachować powagę. Przecież gdyby spadła na niego całym ciężarem z takiej wysokości, nic by z niego nie zostało.

- No proszę - powtórzył. Wzruszyła ramionami i zwiesiła nogi z gałęzi, jeszcze bardziej podwijając spódnicę. Jego oczy zdawały się powiększać, a po twarzy, przemknął szeroki uśmiech. Nie mogła powstrzymać myśli, że wyglądał w tej chwili niezwykle atrakcyjnie. Uniosła się i ześliznęła wprost na niego. Udało mu się wprawdzie schwycić ją w locie, ale nie zdołał zapobiec upadkowi i oboje wylądowali na ziemi. Stwierdziła, że siedzi mu na brzuchu, a jego ręce dotykają jej piersi. Spróbowała je odepchnąć, ale bezskutecznie.

- Może mogłaby pani ze mnie zejść - zaproponował, lecz dłonie wciąż trzymał na jej piersiach. Odskoczyła gwałtownie, podniosła się i zmroziła go wzrokiem.

- Hej - utyskiwał, zbierając się z ziemi. - Nie patrz tak na mnie. Czyż nie jestem białym rycerzem?

- Nie wiem - prychnęła. - A może też szowinistą i rasistą? Tu w okolicy jest tylko jeden rodzaj białych rycerzy. Ubierają się w prześcieradła i kryją twarze.

Łzy cisnęły jej się do oczu. Pamiętała jednak o tym, co zawsze powtarzała jej matka: „duże dziewczynki nie płaczą”. Wraz z wiekiem przybywało tych rzeczy, które nie przystoją „dużym dziewczynkom”. Nie można płakać. Nie płakała. Nie można uderzyć mężczyzny w twarz, nawet gdyby się miało wielką ochotę. Nie robiła tego. Ale można wpatrywać się w niego. To było dozwolone.

Podnieśli się równocześnie i stali teraz w odległości kilkunastu centymetrów od siebie.

- Długo jeszcze będę tak tkwić na tym drzewie? - przerwała milczenie Nora.

- Noga ci krwawi - odezwał się mężczyzna do Katie. Obie ręce oparł wygodnie na jej biodrach i oglądał ją centymetr po centymetrze.

- Chyba tak - westchnęła, nie odrywając ani na chwilę oczu od jego twarzy.

- Hej, wy tam! - Norze udało się zsunąć na niższą gałąź. - Nie dam rady zeskoczyć stąd sama! - Obie głowy pod drzewem wolno zwróciły się w górę. Dziecko uśmiechało się szeroko. Uśmiechnęli się w odpowiedzi. Wyglądało to tak, jakby byli szczęśliwą rodziną.

- Jeśli jej nie puścisz, nie będziesz mógł mnie złapać - roześmiała się Nora.

- Już... czy nie mogłabyś chwilę poczekać? - Jego ręce zataczały koła na biodrach Katie. Zaczepnęła powietrza, nie wiedząc, czego się spodziewać. Czuła, jak jej serce bije coraz szybciej, a przez całe ciało przebiegają raz po raz gorące fale.

Zaskoczył ją całkiem. Lekko pochylił głowę, pocałował ją delikatnie w czoło i wyciągnął ręce do córki. Dziecko krzyknęło z radości, zeskoczyło z konara i znalazło się bezpiecznie w jego ramionach. Katie poczuła się nagle samotna, wykluczona z gry. Znała ich zaledwie od trzydziestu minut, ale czuła się porzucona.

Poprawiła bluzkę i pochyliła się, żeby obejrzeć nogę. Miała rozerwane rajstopy i zadraśniętą skórę. Krwawienie prawie ustało, ale pojawił się ból. Duże dziewczynki nie przyznają się jednak do bólu.

- Tatusiu, ona nazywa się Kathleen i uratowała mi życie - powiedziała Nora.

- Jak to zrobiła? Po prostu podsadziła cię na drzewo?

- Tak.

- Ale ta gałąź jest prawie dwa metry nad ziemią, a ty ważysz ponad dwadzieścia kilo. - Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Prosto na nas biegły wściekłe psy - wyjaśniła Katie otrzepując spódnice. - To znacznie podnosi poziom adrenaliny we krwi.

- Poczekaj... Pozwól mi pomóc. - Postawił córkę ostrożnie na ziemi, obrócił Katie i zaczął ją energicznie otrzepywać z liści i gałązek.

- My... myślę, że już wystarczy - zasugerowała, gdy jego ręce znów spoczęły na jej biodrach.

- Może masz rację - westchnął z widocznym rozczarowaniem.

- Ja mogę oczyścić dół - włączyło się dziecko, zdejmując liście ze spódnicy Katie.

- Nazywam się Lee. - Mężczyzna uściskał dłoń Katie.

- Z tej sławnej rodziny Lee z Wirginii? - Znow się uśmiechnęła.

- Zupełnie nie - zaśmiał się cicho. - Gdy mój dziadek tu przyjechał, nazywał się Lelowic. Urzędnicy imigracyjni powiedzieli mu, że to nazwisko jest zbyt trudne, więc dziadek zmienił je na Lee.

Nagle uśmiech na twarzy Katie zgasł.

Ze wzgórza za nimi pani Fessenden wołała głosem nie znoszącym sprzeciwu:

- Katie! Zaczynamy już jeść!

- Obowiązki - westchnęła, usiłując wyrwać rękę z jego uścisku.

- Obowiązki? - powtórzył. - Chyba nie jest pani służącą w tym mauzoleum?

- Niezupełnie - powiedziała, gdy udało jej się uwolnić. Zrobiła parę chwiejnych kroków. - Nie całkiem należę do tego towarzystwa, ale jednocześnie nie można powiedzieć, że do niego nie należę... Nie wiem, czy pan rozumie?

- Właściwie nie - odparł. Pani Fessenden znow zawołała ponaglająco. Katie pokuśtykała w jej stronę ze zranioną nogą. Po kilku krokach poczuła wspierające ją silne ramię.

- Proszę pana... Panie Lee...

- Po prostu John. Dla przyjaciół Jack.

- Ja... bardzo dziękuję. Potrzebuję pomocy...

- A nie znosi pani o nią prosić?

- Chyba tak. To rodzinne.
- Ma pani rodzinę? Jak liczną? Gdzie?
- Nie... Nie mam - westchnęła. Ból zmniejszyła się, ale nie zamierzała mu o tym mówić. - Zostałam już tylko ja.
- A ja wciąż nie wiem, jak się pani nazywa. Czy mógłbym poznać pani nazwisko?
- Tak... Ale tylko pod warunkiem że nie będzie się pan śmiał.
- Obiecuję. Dlaczego miałbym się śmiać? Nigdy nie będę się z ciebie śmiał, Katie.
- Ale przecież dopiero... się poznaliśmy.
- Znamy się od wieków - zaśmiał się. - Spotkałem cię, gdy nazywałaś się Neferetiti, pamiętasz?
- O Boże, czy pan mówi o reinkarnacji?
- Nie - odpowiedział. Cały czas mówił z uśmiechem, który coraz bardziej ją ekscytował. - Ale czy nie masz wrażenia, że znamy się od wieków?
- Rze... rzeczywiście - przyznała. - Ale z pewnością nic byłam Neferetiti.
- No dobrze... Po prostu to wymyśliłem. - Jego ręka silniej ścisnęła jej łokieć i Katie przez chwilę czuła się jak w niebie.
- Czekamy, Kathleen - gorączkowała się pani Fessenden. Cierpliwość nie należała do jej cnót. Katie potknęła się na progu.
- Nie ma pośpiechu - wtrącił się Jack. - Te twoje przeklęte psy pogryzły kieckę Katie. Potrzebuje paru minut, żeby doprowadzić się do porządku. Spójrz na jej nogę!
- Ale moi goście już zaczynają jeść, a ona zawsze wtedy występuje!

- Będziesz miała szczęście, jeśli nie pozwie cię o pół miliona dolarów odszkodowania - oświadczył groźnie. - Gdzie jest najbliższa łazienka?

Pani Fessenden cofnęła się w popłochu. Pół miliona to sporo, nawet dla nowobogackich.

- Katie? Z pewnością Katie nie pozwie mnie, dlatego że jakiś...

- Jakiś idiota... - podpowiedział.

- Dlatego że jeden z moich gości przypadkowo wypuścił psy...

- Dobrze, gdzie jest łazienka? - przerwał znów Jack. - Moja klientka później opowie mi wszystko dokładnie.

Pani Fessenden wskazała ręką w głąb holu. Na jej twarz wystąpiły ciemne rumieńce.

- Czy to ja jestem twoją klientką? - Katie z trudem powstrzymywała śmiech.

- Mój tatuś jest najlepszym prawnikiem w Stanach Zjednoczonych. - Nora pętała się za nimi, włączając się raz po raz do rozmowy.

- Zjednoczonych - poprawił z roztargnieniem.

- Taak. Właśnie tak powiedziałam.

- Proszę usiąść, panno... W końcu nie powiedziałaś mi...

- Lovewell - westchnęła. - I tylko spróbuj się roześmiać.*

- To wcale nie jest zabawne - zgodził się. - Lovewell. - Powtórzył głośno, rozkoszując się brzmieniem jej nazwiska. - A teraz opatrunek. - Otworzył gwałtownie trzy szafki. - Byłoby dobrze, gdybyś pozwoliła mi zdjąć ci rajstopy.

* *Lovewell - nazwisko znaczące; można je przetłumaczyć jako „szczerze kochająca” (przyp. tłum.)*

- Ale... - Dzwonki alarmowe zadźwięczały jej w głowie.

Trzydziestominutowa znajomość to stanowczo za mało, aby pozwolić mu na coś takiego. Nigdy w życiu! Uderzyła go po rękę i cofnęła się.

- Przecież sama mogę to zrobić... gdyby pan był uprzejmy wyjść - wykrztusiła.

- Psujesz zabawę! - I znów ten szeroki uśmiech. - Noro, zostań tu z Katie i zawołaj mnie, jak będzie trzeba, dobrze?

- W porządku, tatusiu.

W pośpiechu poruszała się niezdarnie i sporo czasu upłynęło, zanim skinęła na dziewczynkę, żeby zawołała ojca.

- Połóż nogę tutaj - polecił, przesuając mały podnózek w jej kierunku. - Ładna noga, nie sądzisz, Noro? - Jack delikatnie przemywał zranione miejsce, osuszał i pokrywał środkiem przeciwbólowym.

- Gotowe - ogłosił wreszcie. - Nie będziesz potrzebowała bandaża.

- Sądziłam, że jesteś prawnikiem, nie lekarzem - zagadnęła.

- Tatuś jest majstrem od wszystkiego - pospieszyła z wyjaśnieniem córka.

Mężczyzna wstał i utkwiał spojrzenie w twarzy Kathleen.

- Chciałabyś mieć taką bystrą i przemądrzałą córkę? - spytał lekko, ale z namysłem. Oblizła nerwowo wargi, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Nora byłaby wspaniałą córką - przyznała wreszcie.

- No cóż, moja mama tak nie myślała - powiedziało oschle dziecko.

Na małej buzi pojawił się grymas.

- Dosyć, Noro - zbeształ ją ojciec i próbował zmienić temat.

- Nie wiem, czym się pani zajmuje, ale o ile nie jest to balet, myślę, że jest pani gotowa do występu, panno Lovewell.

Panno Lovewell. Wraz z wypowiedzeniem jej nazwiska znikła zażyłość w jego głosie. Czyżby się wycofywał? A może to coś związanego z matką Nory, która przypuszczalnie była jego żoną? Katie wstała ostrożnie. Noga była sztywna, ale w miarę sprawna.

- Dziękuję za pomoc, panie Lee. - Wyciągnęła prawą dłoń, ale on nie zwrócił na nią uwagi. Schwycił ją natomiast za lewą.

- Pierścionek zaręczynowy? - zapytał nieprzyjemnym, chłodnym głosem. Zaskoczona spojrzała na rękę. W całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniała o Peterze.

- Tak - odpowiedziała melancholijnie. - Ale nie będę go długo nosić. Jak tylko skończę występ, odnajdę narzeczonego. I to, niestety, będzie chyba koniec...

- O jejku - westchnęła cicho Nora.

Pełną napięcia ciszę przerwało pukanie do drzwi. Tym razem pani Fessenden przysłała pokojówkę.

- Przepraszam. - Katie próbowała wyminąć mężczyznę i dostać się do drzwi.

- Przepraszam - powiedział. - I dziękuję za uratowanie córki. Była pani bardzo odważna...

- Nie byłam odważna - bąknęła Katie. - Śmiertelnie się bałam.

- Och, ale duże dziewczynki nie dają się tak łatwo przestraszyć - zaśmiał się cicho i odsunął na bok.

- Dużo pan wie - wymamrotała. - Do widzenia, Noro. Miło było cię poznać.

- I mojego tatusia też?

Katie spojrzała na malutką buzię, która patrzyła na nią błagalnie i, nie w pełni rozumiejąc pytanie, przywołała na twarz nikły uśmiech.

- I twojego tatusia też - zapewniła, spiesząc do sali balowej.

Wzdłuż długiej ściany olbrzymiego salonu stały stoły zastawione różnymi przekąskami. Część gości krążyła wokół nich, inni, młodszy, rozmawiali przy barze w drugim końcu sali. Katie czuła się obco w tym towarzystwie.

A przecież jeszcze nie tak dawno była jedną z nich. Tańczyła z nimi, rozmawiała. Wtedy, naiwna, nawet nie przypuszczała, że kiedyś może być inaczej.

Skierowała się w stronę wielkiego fortepianu, który stał w rogu sali. Nie zabrała ze sobą nut, ale nie było to potrzebne. Wystarczy sięgnąć po znane utwory, a wszyscy będą bić brawo. Katie rozmasowała palce, ustawiła stołek i zaczęła grać z pamięci. Na początek coś wzruszającego. Fragmenty „Ognistego ptaka” Strawińskiego. Potem „Wielką” Smetany, „Bolero” Ravela, „Espanę” Chabriera i na koniec „Popołudnie Fauna” Debussy'ego.

Gdy skończyła, po chwili ciszy rozległy się oklaski. Pół godziny muzyki strawili tak samo gładko jak kurczaka w galarecie, pomyślała i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że ktoś stoi obok niej.

- Musiałem znaleźć miejsce, gdzie mógłbym zostawić Norę - powiedział. - Więc tym się zajmujesz. Nieźle ci to idzie. Ale dlaczego tutaj?

- Potrzebuję pieniędzy - powiedziała oschle, zdenerwowana, że tak gwałtownie wyrwał ją ze świata dźwięków. Muzyka znaczyła dla niej

wiele. To dzięki niej mogła zapomnieć o wszystkich problemach i przetrwać jakoś te trudne cztery lata, jakie minęły od śmierci matki.

- Mogłabyś dawać koncerty - nie rezygnował.

- Mogłabym też umrzeć z głodu - odpowiedziała gorzko. - Dlaczego pan nie odchodzi?

- Przeszkadzam?

- Nie. Ale jestem zajęta.

- Pomogę ci.

- Nie. To jest coś, co powinnam zrobić sama.

To coś, co muszę zrobić sama, pomyślała. Nikt nie może jej w tym wyrećzyć. Kto by zresztą uwierzył, że taka duża i silna dziewczyna nie da sobie sama rady? Zwłaszcza że chodzi o zwykłą rozmowę. I to na dodatek z kimś, kogo zna nie od dzisiaj.

- A więc poczekam.

- Jak pan chce - westchnęła z rezygnacją. - Miły z pana człowiek, ale proszę się mną nie zajmować. Chyba nie warto.

- Jest pani kimś w rodzaju trędowatej?

- Przeczyta pan o tym w jutrzejszej gazecie.

Zamknęła wieko fortepianu, oparła na nim ręce, westchnęła i wstała.

Wystarczyło dobrze nadstawić ucha, żeby odnaleźć cel. Spośród innych gości, którzy zdążyli już zapomnieć o koncercie i rozeszli się po całej sali, Peter Lester wyróżniał się wyjątkowo donośnym, natrętnym głosem. Dziwne, że zauważyła to dopiero teraz.

Obciągnęła bluzkę i spódnicę, poprawiła włosy i przeszła na drżących nogach przez całą salę. Peter i jego przyjaciele stali w rogu, w pobliżu baru. Wszyscy jednakowi. Należeli do koła myśliwskiego i tak

samo się ubierali. Byli wyjątkowymi nudziarzami, co od razu rzucało się w oczy.

Przecież wiedziałam, że tak jest, od dawna, pomyślała. Dlaczego więc stało się to tak oczywiste dopiero teraz? Dlaczego w ogóle doszło do tych zaręczyn?

Katie знаła odpowiedź. Była samotna, a Peter z początku bardzo miły. Teraz stał odwrócony plecami. Opowiadał coś kolegom, a oni szczyrzyli zęby w oczekiwaniu finału. Ku jej zdziwieniu nie sprawiało to wrażenia pieprznej historyjki. Gdy dotknęła jego ramienia, odwrócił się.

- Och, Katie! Myślałem, że będziesz chciała odpocząć po tej wspaniałej grze.

- Nie udawaj, Peter. Nie słyszałeś ani nutki. Obserwowałam cię. Musimy porozmawiać.

- Jesteś taka poważna, kochanie. To moi przyjaciele. Możemy rozmawiać tutaj.

Peter, trochę podпиты, zaczynał czuć, że coś wisi w powietrzu. Wcześniej wyczuli to jego przyjaciele. Wszyscy wycofali się dyskretnie, zostawiając ich samych.

- Chodź ze mną, Peter - nalegała, ciągnąc go za rękę.

- W porządku - burknął i gwałtownie odstawił nie dopitą szklanekę. Na jego wąskiej, nieruchomej twarzy malowała się złość. Wolną ręką odgarniał z oczu długie, jasne włosy. Wczoraj zachwycała się tym gestem, dziś ją przerażał. Ale przecież duże dziewczynki nie dają się tak łatwo przestraszyć.

Wyszli na korytarz, łączący salę z głównym budynkiem. Peter gwałtownie otworzył drzwi do jakiegoś pokoju.

- Tutaj - wymamrotał. - Chyba nikt nie przyjdzie do biblioteki. Nie jestem pewien, czy ktoś z tego towarzystwa umie czytać.

Kolejna rzecz, której dotąd nie spostrzegłam, pomyślała. On jest zawsze taki cyniczny, zawsze pokazuje swoją wyższość. Jakąż byłam idiotką!

- No więc? - Peter zamknął za sobą drzwi, podszedł do małego stolika i nalał sobie brandy. Wychylił ją trzema szybkimi łykami.

- Peter... - zawahała się.

Mężczyzna usiadł w fotelu i patrzył na nią wilkiem.

On mnie nawet nie lubi! Ta myśl zraniła ją. Miałam go poślubić, a on mnie nawet nie lubi!

- Peter... w południe przyszła do mojego domu policja. Ja... - Spojrzał na nią krzywo. - W bibliotece nie było nic do zrobienia - kontynuowała z wysiłkiem - więc wróciłam wcześniej do domu... i... zamek przy drzwiach był uszkodzony. Nie rozumiem, dlaczego. Potem przyszedł policjant. Zastępca szeryfa.

- I?

- I powiedział coś o przysługujących mi prawach, a potem zadał mnóstwo pytań. Pytał o... marihuanę. W jaki sposób marihuana znalazła się w moim domu? Tylko my dwoje mamy klucze... - Ostatnie słowa przeszły w szept. - To ty, Peter? To dlatego chciałeś mieć klucz? Ty?

- No cóż... - Zaśmiał się. - Panienska wreszcie zrozumiała. Tak, Katie, ja. Masz takie czarujące nazwisko. Jak tylko je usłyszałem, zrozumiałem, że jesteś właściwą osobą. - Znów sięgnął po karafkę.

- Więc co im powiedziałaś?

- Ja? Ja... nie wiedziałam o niczym. Co mogłam im powiedzieć? Powiedzieli... zmusili mnie do pójścia do sądu, Peter, i krzyczeli na mnie i... ale ja przecież o niczym nie wiedziałam...

- Musiałabyś być ślepa, żeby niczego nie zauważyć. - Zaśmiał się znowu.

Dziwne, zastanowiła się, zawsze myślałam, że to spontaniczny śmiech, ale nie. Jest prostacki, okrutny.

- Czego więc chcesz ode mnie?

- Peter... powiedzieli, że ja... w sądzie, jutro. Powiedzieli, że muszę przyjść. Wypuścili mnie bez kaucji ze względu... ze względu na ojca. A jutro... musisz ze mną iść, Peter, i powiedzieć im, że to nie moja wina. Musisz!

- Nie sądzę, żebym znalazł czas - zaśmiał się cicho, popijając brandy.

- Mam... hm... spotkanie we Front Royal.

- Z tamtą...?

- Katie, naprawdę mnie zadziwiasz. Skąd wiedziałaś o Evelyn?

- Wiedziała od miesiący - westchnęła ciężko. - Myślałam, że u mężczyzn przed ślubem to normalne...

- No cóż, chciałaś grać rolę wahającej się starej panny. To zabawne w wykonaniu niezdarnej dwudziestopięciolatki. Chyba nie oczekiwałaś, że będę żył w celibacie, dopóki się nie zdecydujesz?

- Chyba nie. - Oparła się o stół, zachowując siły na to, co miało nastąpić. - Myślę, że lepiej będzie, jak dostaniesz swój pierścionek z powrotem - westchnęła. Choć był to tylko maleńki brylant, przez wszystkie miesiące dużo dla niej znaczył. - Nie pójdziesz więc ze mną do sądu?

- Oczywiście, że nie - powiedział oschle. - Myślisz, że jestem tak głupi?

Zostało w niej jeszcze trochę energii.

- Nie, Peter. Tylko jedno z nas jest głupie, prawda? Czego naprawdę chciałeś? Mego domu?

- No, nareszcie załapałaś - ucieszył się. - Niezły dom. Na uboczu, na granicy okręgu. Z dobrym dojazdem. Wszystko jak trzeba. - Wziął pierścionek i bawił się nim. - Uwierzyłybyś w to, że jestem sentymentalny? Należał do mojej matki. Cieszę się, że go odzyskałem.

- A więc i ja się cieszę. Czy mogę dostać klucz?

- Który? - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął trzy identyczne.

- Dorobiłeś je! - Nie wytrzymała i uderzyła pięścią w stół. -

Dorobiłeś je!

- Dwadzieścia pięć sztuk - śmiejąc się wstał z fotela. Wtem zachwiał się i stracił równowagę. Hałas upadającego mebla zagłuszył skrzypienie otwieranych drzwi.

- Każdy z naszej paczki ma klucz. Tak harowałaś codziennie poza domem, że ciągle mogliśmy mieć imprezy. O Katie, jesteś wyjątkową gospodynią, pozwól to sobie powiedzieć!

Stała wyprostowana, z podniesioną głową i zaciśniętymi pięściami. Gdyby tylko mogła go uderzyć! Ale duże dziewczynki tego nie robią! Zamiast tego, sztywna i drżąca, z największym wysiłkiem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy.

To, czego nie wolno dużym dziewczynkom nie miało widocznie znaczenia dla dużych chłopców, gdyż Jack Lee, który pojawił się nie wiadomo skąd, jedną ręką chwycił Petera za kark, a drugą uderzył go w

szczękę, tak że ten przeleciał nad przewróconym fotelem i zatrzymał się na regałach po przeciwnej stronie pokoju.

- Chodź tu! - usłyszała modry, spokojny głos. Otworzyła oczy.

Ujrzała wyciągnięte ramiona. Podeszła i oparła się o muskularny tors Jacka Lee. Ramiona oplotły ją i, wbrew wszystkim maksymom, które zapamiętała z dzieciństwa, duża dziewczynka pozwoliła sobie na płacz.

- O Boże, co mam robić? - pochłipywała.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział cicho, głaszcząc ją po głowie.

- Wszystko będzie dobrze.

Nieomal w to uwierzyła.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Peter Lester zwijał się na podłodze. Jack podszedł i trącił go lekko czubkiem buta.

- Chciałbym być pewien, że ani ty, ani twoi kumple nie zbliżą się już do niej - powiedział z naciskiem. Peter zrozumiał groźbę. W jego spojrzeniu było jednak coś, co wydawało się zapowiadać dalsze kłopoty.

Jack wrócił do Katie i znów przytulił ją do siebie. Patrzyli oboje, jak jej były narzeczony podszedł chyłkiem do drzwi, zatrzymał się, jakby chcąc coś powiedzieć, i wreszcie wyśliznął się z pokoju.

- Prawdziwy padalec, Katie. Nie rozumiem, jak taka dziewczyna jak ty mogła zaręczyć się z takim...

- Ja też nie - powiedziała ze znużeniem, przytulając się mocniej. - To trudny rok. Tatuś zmarł, nie zostawił żadnych pieniędzy, a wszyscy, których uważałam za przyjaciół, odwrócili się ode mnie. Gdy pojawił się Peter, byłam taka samotna, a on... Nie! Nie chcę teraz o tym mówić.

- W porządku, Neferetiti - pocieszał. - Teraz musisz być dzielna. Nora jest w kuchni i zapewne opycha się ciasteczkami. Chodźmy.

Po drodze wstąpili do łazienki, gdzie Katie pospiesznie przemyła oczy i zaczęła spinać włosy.

- Niepotrzebnie to robisz - zaprotestował cicho Jack, chwytając ją za rękę. - Zostaw je. Podoba mi się, kiedy są rozpuszczone.

- Naprawdę? Gdyby były kręcone jak twoje... Zresztą, dobrze, ale tylko na teraz.

Tak musi być, pomyślała. Zrobię mu tę przyjemność za to, co zrobił dla mnie. Przecież pewnie już nigdy się nie zobaczymy. Tacy jak on nie zatrzymują się w Stanfield na dłużej. Ciekawe, gdzie on...

- John? - zapytała. Odwrócił się i spojrzał uważnie.

- Gdzie mieszkasz?

- Teraz w motelu - powiedział. - Moja córka i ja włączymy się, szukając odpowiedniego miejsca do zamieszkania. Jesteśmy tu od trzech dni. Okolica wygląda sympatycznie, nie sądzisz?

- Spędziłam tu całe życie. Jest miło, ale... No cóż, to tereny rolnicze, farmerom nie wiedzie się teraz najlepiej. Żeby zboże przynosiło zyski, trzeba mieć dużo ziemi. Jedyne, co się opłaca, to jabłka.

Urwała nagle. On jest prawnikiem. Co go, u licha, obchodzą jabłka?

Spojrzała na niego i pożałowała, że nie jest prawdziwą Neferetiti.

John ponownie wsunął rękę pod jej ramię i poszli w stronę kuchni. Nora siedziała tam przy dużym stole, zajadając świeżutkie czekoladowe herbatniki.

- A więc omyliłem się co do gatunku - roześmiał się.

- Chodź, malutka. Musimy odwiedzić panią do domu.

- Świetnie - powiedziała Nora z buzią pełną chrupiących ciasteczek.

- Nie musicie mnie odwozić - wtrąciła Katie.

- Mieszkam dość daleko, pojedę rowerem.

- Niech pan nie słucha, panie Lee - odezwała się pani Milligan, kucharka i gospodyni, która, jak się okazało, bezczelnie podsłuchiwała. - To ponad trzynaście kilometrów stąd.

- Nie mogę przecież zostawić tu roweru - protestowała słabo Katie.

- Nie musisz - przerwała Nora. - Mamy bagażnik na dachu, prawda, tatusiu?

- Oczywiście - potwierdził John i poprowadził Katie do wyjścia.

- Nie zapomnij koperty! - zawołała za nią pani Milligan, gdy otwierali drzwi. Katie posłała jej dziękczynny uśmiech i wzięła małą, białą kopertę leżącą przy drzwiach.

John spojrzał na nią pytająco.

- Pieniądze - powiedziała szorstko. - Pół godziny muzyki - pięćdziesiąt dolarów. W przedszkolu nie zarabiam nawet połowy tego.

Nie była w stanie ukryć smutku, jaki pobrzmiwał w jej głosie. Kochała muzykę. To była część jej życia. Gdyby jednak trzeba było wybierać, wybrałaby pracę z dziećmi.

Podeszli do wielkiego cadillaca. To było do przewidzenia. Czym innym mógłby jeździć najlepszy prawnik w Stanach Zjednoczonych?

- Wygląda to nie najlepiej - westchnęła, gdy umieścili wreszcie jej przedpotopowy rower na dachu eleganckiej limuzyny.

- Samochód? - spytał. - Rzeczywiście, zeszłoroczny model. Nie wszyscy są milionerami. - Sprawiał wrażenie urażonego. Pospieszyła więc szybko z wyjaśnieniem. John uśmiechnął się lekko. Nie była pewna, co ten uśmiech oznacza.

- My, ubodzy krewni z prowincji, jesteśmy zapewne doskonałym obiektem do żartów - burknęła zimno, odwracając głowę, aby uniknąć jego wzroku.

- Nie jesteś moją krewną - odpowiedział. Uruchomił gwałtownie silnik i skręcił na starą, wiejską drogę. Szybko przejechali przez Stanfield, po czym skręcili na południe. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na znajome

okolice, liczyła przelatujące wrony, obserwowała kwitnące drzewa - wszystko po to, aby nie patrzeć na niego. Siedząca z tyłu Nora, jak na dziecko, zachowywała się zadziwiająco cicho.

- To tutaj - powiedziała Katie po kilku minutach. Zwolnił i skręcił na podjazd. W zachodzącym słońcu jej dom prezentował się wyjątkowo korzystnie. Półmrok maskował opłakany stan rezydencji.

- Nie do wiary - wycedził Jack. - Prawdziwa posiadłość. Gdzie są baraki dla niewolników?

- Nie bądź złośliwy - powiedziała oschle. - Mówisz jak Jankes. Baraki niewolników były za domem. Spalił je generał Sheridan w 1864 roku. Był Jankesem, o ile sobie przypominam.

- No cóż, nie obwiniaj mnie za to - zaśmiał się. - Moja rodzina była wówczas jeszcze w Jugosławii.

Wysiadł z samochodu, obszedł go dookoła i otworzył drzwi od strony Katie. Peter nigdy nie zdobył się na ten gest, pomyślała.

- Musimy zdjąć twój rower - powiedział. - Chodź, Noro, pomóż Katie. - To mówiąc, skierował się w stronę domu.

- Więc dobrze, będę...

- Będiesz czym? - podsunęła dziewczynka.

- Ja... nie wiem, czym będę - roześmiała się Katie. - Czy nie powiedział, że pomoże mi zdjąć rower? A potem sobie poszedł.

- Ojcowie już tacy są - odpowiedziało z powagą dziecko. - Nie sądzisz?

- Skąd mam wiedzieć, skarbie? To twój tatuś, nie mój. Co teraz zrobimy?

- Ty potrzywasz rower, a ja odepnę zatrzask.

- Zdjęły rower bez problemu.

Tymczasem wrócił Jack.

- Rozwalili zamek - powiedział.

To dziwne, ale nie sprawiał wrażenia, jakby był tym zmartwiony. Przeciwnie, wyglądał nawet na zadowolonego. - Gdzie jest najbliższy sklep z artykułami żelaznymi?

Katie poczuła się nagle zupełnie wyczerpana. Zatęskniła za miejscem, gdzie mogłaby usiąść.

- W Bentonville - wskazała ręką na południe. Dowlokła się do werandy i przysiadła na stopniu.

Podszedł i przykucnął przed nią, ujmując jej pobladłą twarz w obie dłonie.

- Zmęczona? Zbyt wiele przeszłaś? Wytrzymasz jeszcze parę minut?
- zapytał i, nie czekając na odpowiedź, wstał. - Noro, zostaniesz z panną Lovewell, a ja pojedę po nowy zamek do drzwi.

Dziewczynka znów wykazała niezwykłą dojrzałość. Usiadła obok, objęła Katie i pokiwała głową ze zrozumieniem. Ojciec wsiadł do samochodu i odjechał.

- Niezwykły człowiek - powiedziała Katie. Spojrzała na dziewczynkę. - Ty też jesteś niezwykła, prawda?

- Kto? Ja? - Dziecko uśmiechnęło się po łobuzersku i szybko wyciągnęło zgniecione ciastko z kieszeni džinsów. - Chcesz ciasteczko?

- N... nie. Nie jestem bardzo głodna.

- Właśnie o to chodzi - nalegało dziecko. - Nie jadłaś luncha...

- Lunchu - poprawiła Katie.

- Lunchu. Potrzebujesz trochę kalorii. Tak mówi tatuś.

- Tatuś ma zawsze rację?

- Jasne!

Z niewiadomych powodów Katie zaczęła chrupać ciasteczko, wpatrując się we wzgórze. Wielka rdzawo-czerwona kula słońca znajdowała się właśnie na szczycie Massanutten.

- Tutaj jest dużo gór - stwierdziła Nora, przerywając ciszę.

- A tam, gdzie mieszkałaś, nie ma?

- Nie ma. W Waszyngtonie są tylko posągi i senatorowie. Tatuś mówi, że posągi i senatorowie są podobni. Jeśli senatorowie nie będą się ruszać, ludzie pomyślą, że to posągi. W ogóle mi się tam nie podobało. Tu jest lepsze powietrze.

- Tak, to prawda. - Obie przesadnie głęboko odetchnęły. W dolinie było uroczo. Wysoko w górach kwitły drzewka lamowe, pachniała nie zorana ziemia, słychać było plusk rzeki przed domem.

Kiedy nadarzy się lepsza okazja? To świństwo wyciągać coś z dziecka, ale jak inaczej dowie się czegoś więcej o ojcu Nory? On sam z pewnością nic o sobie nie powie.

- Czy twojej matce podoba się tutaj?

- Co?! - Nora warknęła z oburzeniem. - Skąd mam wiedzieć?

- No przecież coś musisz wiedzieć...

- Taak, jasne. Uciekła, kiedy miałam rok. Od tej pory jej nie widziałam.

- Nie wydaje mi się, żebyś na tym ucierpiała - rzuciła. - Zobacz, na jaką uroczą dziewczynkę wyrosłaś! - próbowała pocieszyć Norę.

- W szkole tak nie mówią - oznajmiło ponuro dziecko. - Dlatego musieliśmy... dlatego wynieśliśmy się z Waszyngtonu. Tatuś mówi, że to

stado... oj! Powiedział mi, żebym nigdy nie używała takich słów. - Urwała nagle i zapanowała niezręczna cisza.

- Chcesz obejrzeć mój dom? - odezwała się wreszcie Katie.

- Cały jest twój? Tak, chciałabym go zobaczyć.

Wzięły się za ręce i powędrowały w głąb domu. Były na drugim piętrze, gdy zabrzmiał klakson, obwieszczający powrót Johna, a dla przyjaciół - Jacka Lee. Nora zbiegła po schodach i rzuciła się na niego tak, jakby wracał z wyprawy na Marsa.

- Tatusiu, oni mają czternaście sypialni! Czternaście! Oczywiście wiele jest małych, dla służących, ale pozostałe są fantastyczne! Naprawdę!

- Wierzę ci, moja księżniczko - roześmiał się. Postawił pakunki przy drzwiach, ściągnął marynarkę i rozejrzał się. - Gdzie jest kontakt?

Musiałem także kupić wiertarkę - wyjaśnił. Włączył wiertarkę i zabrał się do pracy. - Czternaście sypialni? A ile łazienek? - rzucił w stronę córki.

- Nie pamiętam - roześmiała się Nora. - Byłam zajęta liczeniem łóżek.

- Czternaście sypialni i tylko cztery łazienki - wtrąciła Katie. - Każdy musi spać, ale nie każdy musi się kąpać. Przynajmniej niejednocześnie.

Przerwał pracę i spojrzał na nią.

- Nie tłumacz się - poradził. - Cztery łazienki to i tak dużo. Zresztą, zależy ile osób tu się kąpie...

Nie podjęła zaczepki i Jack wrócił do pracy. Do piątej zdążył wstawić nowy, skomplikowany zamek z blokadą.

- Wygląda na to, że poprzedni zamek założono ze sto lat temu - skomentował.

- Tak - powiedziała ze śmiertelną powagą. - Natychmiast po tym, jak generał Sheridan spalił baraki niewolników.

Pokiwał wolno głową. Katie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Ona się z ciebie nabija, tatusiu - włączyła się Nora.

- Widzę. Jak myślisz, dlaczego to robi?

- Bo cię lubi.

- Tak myślisz? Czy mam ją zapytać?

- To musi być kupa śmiechu mieszkać z wami pod jednym dachem - powiedziała Katie. - Para komediantów. Dziękuję za nowy zamek.

- Jak myślisz, Noro, co ona chce przez to powiedzieć?

- Myślę, że chce, żebyśmy zamknęli drzwi z drugiej strony, ot, co.

- No cóż! - Wstał, zbierając narzędzia. - Rozumiem aluzję. Myślę, że oczekuje też, że pozamiatamy te trociny, prawda?

- Nie, tego nie oczekuje - wtrąciła Katie krztusząc się ze śmiechu. - Jest w stanie posprzątać sama. I naprawdę bardzo dziękuje - nie tylko za naprawę drzwi.

- Wiesz, co powinieneś teraz zrobić, tatusiu?

- Co?

- Powinieneś ją pocałować.

- Myślisz, że to dobry pomysł? Może weźmiesz te rzeczy do samochodu. - Dziecko podniosło torbę i ruszyło w stronę drzwi.

- Nie... Noro, zabierz ze sobą ojca - prosiła Katie.

- Idź, Noro.

Katie cofnęła się wolno. Zbliżył się z uśmiechem. Kręcone, czarne, zmierzwiłone włosy opadły mu na czoło. W ciemnych oczach migotały

jakieś dziwne iskierki. Roześmiane usta ukazywały mocne, białe zęby. Pochylił głowę, zawahał się, w końcu gwałtownie ją pocałował.

Było to jak obietnica. Krótkie zetknięcie, zostawiające smak słodczy.

- Katie? - szepnął po chwili. Była zbyt zajęta, żeby odpowiedzieć. Zbyt zajęta obejmowaniem go za szyję, przyciąganiem jego głowy, aby skłonić go do powtórzenia tego magicznego dotknięcia. Przez chwilę się wahał. Drugi pocałunek trwał, dopóki Katie nie zabrakło tchu. Ich usta niechętnie oderwały się od siebie. Jack stał, patrząc na nią zagadkowo.

- Jesteś pewna, że nie masz mi nic do powiedzenia?

- Nie... chyba nie - zająknęła się, nie domyślając się, o co mu może chodzić.

- Więc chyba powinienem już pójść - powiedział, wypuszczając ją z objęć. Cofnęła się, nerwowo poprawiając bluzkę.

- Chyba tak - powiedziała cicho. - Miło było cię poznać. Być może kiedyś się jeszcze spotkamy.

Czy nie zabrzmiało to jak błaganie? Ale przecież nie chciała się żegnać! Nie z nim!

- O, na pewno się spotkamy - odpowiedział. Objął ją i przytulił na chwilę, potem odwrócił się i skierował ku wyjściu.

Odprowadziła go do drzwi i stała, patrząc, jak Jack idzie wielkimi krokami do samochodu. Wsiadł, zatrzasnął drzwi i odjechał. Z okienka pomachała do niej mała rączka. Odpowiedziała na pozdrowienie i długo za nimi patrzyła, wlepiając oczy w pustą drogę i opadający kurz.

Gdy odjechali wróciła do salonu i opadła ciężko na fotel. Ogarnęły ją ponure myśli.

Czternaście sypialni, cztery łazienki, sześć saloników i jedna mieszkanca. Duży dom, prawie sto hektarów ziemi i ani grosza dochodu, prócz tego, co zarobi od czasu do czasu grając na przyjęciach.

Jakże to miejsce tętniło życiem, gdy była dzieckiem! Jej piękna matka, kiedy jeszcze żyła, prowadziła bujne życie towarzyskie. Po tym, jak zginęła w wypadku samochodowym, ojciec nie mógł dojść do siebie. Zamknął się w sobie, zaczął pić, grać w karty, zaniedbał gospodarstwo, aż wreszcie zachorował na raka płuc i niedługo potem zmarł. Jeszcze teraz na samo wspomnienie rozmowy, jaką przeprowadziła z miejscowym prawnikiem zaraz po śmierci ojca, cierpła jej skóra.

- Na mocy testamentu - informował ją Harry Bledsoe - dziedziczy pani dom, ziemię i pieniądze. Niestety nie jest to tego wiele. Ledwo wystarczą na podatek od spadku.

- Ależ panie Bledsoe, a pieniądze mojej matki...?

- Nie ma żadnych pieniędzy, drogie dziecko. Ojciec nie miał prawa ich ruszać, ale był twoim opiekunem. Wydał wszystko.

- I co ja mam zrobić?

- Jest tylko jedno wyjście, Katie. Musisz wszystko sprzedać. To zły okres na sprzedaż ziemi, ale dom może przynieść niezły zysk.

- Ja... nie mogę w tej chwili podjąć takiej decyzji. - Prawnik wydawał się zaskoczony widokiem łez. Czuł to samo co wszyscy. Duże dziewczynki po prostu nie płaczą.

- Masz jeszcze trochę czasu - oświadczył. - Testament trzeba uwierzytelnić. Uregulować rachunki, obliczyć podatki. Na to potrzeba przynajmniej dziewięciu miesięcy.

Teraz pozostał już tylko miesiąc. Trzydzieści dni kwietnia. Robiła, co mogła, ale nie mając odpowiednich kwalifikacji niewiele mogła zdziałać... Bibliotekarka na pół etatu, pomocnica wychowawczynie w przedszkolu, pianistka od przypadku do przypadku... W świecie pełnym fachowców nie było miejsca dla takich jak ona. Najlepsze, co mogła zrobić, to sprzedać wszystko i po wzięciu pieniędzy wrócić do Richmond, aby czegoś się nauczyć. Czegokolwiek. Jakiż to życiowy cel! Zdobyć jakiegokolwiek kwalifikacje!

O dziewiątej, gdy szła po schodach do łazienki, na podjazd wjechały trzy samochody z włączonymi klaksonami, oświetlając reflektorami stary dom. Ktoś próbował otworzyć frontowe drzwi, wreszcie załomotał. Powinnam mieć psa, powiedziała do siebie ponuro. Dwa psy.

Walenie nie ustawało. W pokoju ojca była stara dubeltówka. Zardzewiała, nie nabita, ale robiła wrażenie. Wzięła ją i podeszła do drzwi.

Oparta o nie modliła się, żeby sobie poszli. Po chwili hałas się nasilił. Ktoś śpiewał, straszliwie fałszując. Inni wciąż napierali na drzwi, które nagle zatrzeszczały pod jakimś ciężarem. Dalsze oczekiwanie nie miało sensu. Założyła łańcuch, przekręciła klucz i otworzyła drzwi.

Na progu stał Peter Lester.

- No, najwyższy czas - stwierdził. - Mój klucz nie pasuje. Otwórz, Katie. Przyjechaliśmy się zabawić.

- Jesteś pijany - odpowiedziała z obrzydzeniem.

- Jeszcze nie. Ale będę. Otwórz. - Odwrócił się i wrzasnął do siedzących w samochodach. - Chodźcie! Będziemy się świetnie bawić! Jest tu strasznie wielka dziewczyna!

Ryk śmiechu wyrwał Katie z odrętwienia. Było ich ośmiu. Wystarczająco dużo, żeby narobić kłopotów. Zapaliła światło na werandzie i wysunęła wylot lufy przez uchylone drzwi.

- Peter, czy widzisz, co to jest?

- Patrzcie, przypuszczam, że to dubeltówka! - wrzasnęła. - Czy prawdziwa?

- Dotknij - zaproponowała.

- Patrzcie, rzeczywiście. - Wyciągniętym palcem dotknął zimnej lufy. - Coś ty, Katie! Przecież nie skrzywdziłabyś nawet muchy.

- Tak ci się tylko zdaje - powiedziała cicho. - Pamiętasz dzisiejszy dzień, Peter? Doprowadziłeś do zerwania zaręczyn i spowodowałeś, że zatrzymała mnie policja. A teraz przychodzisz po ciemku do mojego domu i grozisz mi.

- Ja? Ja ci nie grożę. - Brawura go opuściła, gdy poczuł wylot lufy na żołądku.

- Owszem, zrobiłeś to, Peter - starała się mówić twardo. - Groziłeś mi. Właśnie to powiem szeryfowi.

- Ale ja powiem mu co innego - powiedział niespokojnie mężczyzna.

- Widzisz. Znów mi grozisz. - Zaśmiała się cicho. - A w jaki sposób będziesz mógł rozmawiać z szeryfem, jeśli wpakuję ci teraz kulę w brzuch? - Odbezpieczyła strzelbę. To wystarczyło. Mężczyzna, którego jeszcze niedawno zamierzała poślubić, zszedł cicho ze schodów, wśliznął się do samochodu i trzasnął drzwiami.

- Jeszcze tu wróć! - krzyknął, wychylając głowę przez okno. - Zobaczysz!

Reszta towarzystwa była dziwnie cicha. Gdy odjechał, podążyli za nim.

Katie, całkowicie wyczerpana, zatrzasnęła drzwi, założyła blokadę, postawiła strzelbę przy ścianie i pierwszy raz w życiu obeszyła cały dom, sprawdzając, czy wszystkie okna i drzwi są zamknięte.

Gorącej wody ledwo starczyło na kąpiel. Bojler i piec do centralnego ogrzewania wymagały wymiany. Zanurzyła się w wannie i próbowała odprężyć. Było to trudne. Peter na pewno wróci. Jeśli nie dziś to jutro. Był małostkowy i zawsze długo chował w sercu urazę.

Wykąpała się, wyszczotkowała starannie włosy, przez dłuższą chwilę popatrzyła w zamyśleniu na swoje odbicie w lustrze, po czym udała się do sypialni.

Łóżko było wygrzane. Miała elektryczny koc, który dobrze jej służył. Otuliła się kołdrą, zwinęła na boku i zatopiła w myślach.

Lenora Lee... Urocze dziecko. Dla takiego dziecka zrobiłabym wszystko.

Kogo chcesz oszukać, Katie Lovewell, uśmiechnęła się do siebie. Przecież to nie ona przyciąga twoją uwagę! To Jack Lee.

Jaka wspaniała twarz. Ciekawe, ile tysięcy kobiet całował przed nią? Jak by to było, gdyby był tu teraz, razem z nią? Jak ona reagowałaby na jego pocałunki, pieszczoty...?

Zasnęła z wypiekami na twarzy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Katie nie należała do śpiochów. Budziła się szybko, pełna zapału do życia. Ale tego ranka wylegiwanie się sprawiało jej przyjemność.

Dolinę spowijała poranna mgła. Tylko szczyty gór wznosiły się ku słońcu. Katie wyciągnęła się w łóżku. Miała przyjemne uczucie, jakby coś w jej życiu wreszcie się zmieniło.

Może uda jej się otrząsnąć spod ciężaru wspomnień, zostawić na zawsze za sobą ten koszmarny rok i na powrót stać się roześmianą i pogodną dziewczyną, jak kiedyś?

Z rozmyślań wyrwał ją stary, wahadłowy zegar, który zaczął wybijać ósmą. Choć było jeszcze wcześniej, Katie szybko poderwała się z łóżka. Musiała się spieszyć, żeby zdążyć do sądu na dziesiątą.

Masz dziś do odegrania ważną rolę, powiedziała do swego odbicia w lustrze. Musisz przekonać sędziego Pettibone'a, że wciąż jesteś tą poważną, szczerą Katie, którą znał od dnia jej narodzin.

Synoptycy, mimo porannego chłodu, zapowiadali ciepły dzień. Założyła więc dopasowaną w talii koszulową sukienkę i pantofle na płaskim obcasie (sędzia był niskim mężczyzną). Szyję owinęła bladożółtym szalem, który kiedyś wybrała dla niej matka, a dokładnie wyszczotkowane włosy rozpuściła luźno do połowy pleców. Żadnego makijażu, postanowiła. Sędzia ma siedemdziesiąt lat. No, może troszkę błyszczyku na usta. Jeszcze tylko kropelka perfum i żakiet, na wypadek, gdyby prognoza pogody się nie sprawdziła.

Stanfield było jednym ze starszych miast w dolinie. Gmach sądu, ceglany, zbudowany jeszcze przed wojną secesyjną, znajdował się na

szczyt niewielkiego wzgórza i był otoczony trawnikami. W pobliżu stał pomnik upamiętniający T.J. Jacksona i jego kawalerię, która obozowała tu pewnej nocy w 1862 roku.

Przy drzwiach sali sądowej czekał na Katie niezbyt sympatyczny pomocnik szeryfa, który zaprowadził ją na miejsce. W niewielkiej mrocznej sali, była niemal sama. Jedynie w kątach kuliły się trzy czy cztery osoby które przyszły obserwować rozprawę.

Usiadła, czując, jak przytłacza ją ponury nastrój starego budynku. Ławka była równie stara jak sama budowla. Bóg jeden wie, ile kobiet siedziało tu i odczuwało to samo co ona teraz, pomyślała. Najważniejsze to nie tracić otuchy. I uśmiechnąć się. Nie było to jednak łatwe.

Nagle drzwi z tyłu sali otworzyły się i wkroczył sędzia Pettibone w czarnej todze. Pomocnik szeryfa wymruczał swoją litanię kończącą się słowami „Proszę wstać”. Szum na sali zaskoczył Katie.

Odwróciła się szybko i zobaczyła, że podczas jej rozmyślań salę wypełnili ludzie. Oślepił ją błysk flesza. Zamrugła i znów spojrzała przed siebie. Sędzia Pettibone usadowił się w fotelu i uderzył młotkiem w stół. Wszyscy usiedli. Katie poszła za ich przykładem.

Sędzia pogrzebał w stosie papierów i odchrząknął:

- Sprawa stanu Wirginia przeciwko Katie Rosalie Lovewell, postawienie w stan oskarżenia. Prokurator?

- Obecny, panie sędzio.

- A mała Rosie... to znaczy panna Lovewell? - Spojrzała zaskoczona. Nazywał ją małą Rosie od dnia jej dziesiątych urodzin, kiedy zorientował się, że go przerosła.

- Nie masz adwokata, Katie?

- Nie, panie sędzio. Ja... nie mam pieniędzy na adwokata.

- Posłuchaj, to nie jest jeszcze proces - westchnął sędzia. - To tylko przedstawienie przez stronę skarżącą dowodów niezbędnych do wszczęcia procesu. Ale to ważny etap w postępowaniu sądowym. Czy mam ci wyznaczyć obrońcę z urzędu?

- Ja... naprawdę nie...

- Ona ma adwokata. - Do uszu Katie dobiegł miły baryton z końca sali.

Nie musiała się odwracać. To był on. Jack Lee. Wcisnęła głowę w ramiona. Jeśli cokolwiek chciała przed nim ukryć, to właśnie to! A on tu był. Jako mój adwokat? Boże. Adwokat to za mało. Potrzebowała opiekuna!

- Pan Lee, czy tak? - Sędzia Pettibone zdjął okulary i przecierał je chusteczką. - Nieczęsto gościmy tak znanych adwokatów. Czy pan ma licencję na praktykę w Wirginii.

- Tak. - Przeszedł między krzesłami i wcisnął się na ławkę obok Katie.

- Panno Lovewell, czy pan Lee może być pani obrońcą?

Powinnam być szczęśliwa, pomyślała, kuląc się przygnębiona na ławce. Powinnam płakać. Dlaczego właśnie on, o Boże? Nieśmiało podniosła wzrok. Jack patrzył na nią życzliwie.

- Powinnaś się uśmiechnąć, powiedzieć „tak” i wyglądać na bardziej pewną siebie - szepnął, nachylając się ku niej.

Sędzia czekał cierpliwie.

- Tak - oznajmiła wreszcie.

- Muszę się naradzić z moją klientką, panie sędzio - oznajmił głośno Jack.

- Oczywiście. Proszę się nie spieszyć. - Młotek uderzył i sędzia znów zajął się przeglądaniem papierów. Miejscowy prokurator, Tom Gerney, popatrzył na ławę obrony i wzruszył ramionami. Jack nachylił się do Katie, kładąc rękę na ławce za nią.

- Nora powiedziała mi, że trzynaście z twoich czternastu sypialni jest zakurzonych - szepnął,

- Nie mogę być wszędzie jednocześnie - odpowiedziała defensywnie, zaskoczona zmianą tematu.

- Nie mogłaś polecić tego jednemu ze służących?

- Nie mam służących - szepnęła wzburzona. - Mieszkam sama.

- To znaczy, że spędziłaś samotnie noc w tym olbrzymim domu? A gdyby ktoś przyszedł?

- Właśnie ktoś przyszedł - rzuciła głośno i zarumieniła się, ponieważ wszyscy w sądzie spojrzeli na nią. Powróciła znów do szeptu:

- W jaki sposób się z tego wyplątać?

- Nie martw się - zaśmiał się Jack, klepiąc teczkę. - Myślę, że jakoś damy sobie radę. Powiedz mi lepiej kto to był? Lester?

- Tak... Odprawiłam go.

- Po prostu?

- Niezupełnie. Było trochę kłopotu. Postraszyłam go strzelbą.

- Na mieście mówią, że Katie Lovewell, duża dziewczyna o gołębiem sercu, nie skrzywdziłaby nawet muchy.

- Nie powinieneś słuchać plotek. Skrzywdziłam sporo much - odparła. - Ale ja się boję, że on może wrócić - dodała szeptem.

- Nie sędzę. Kiedy ma się złamaną nogę, raczej siedzi się w domu!...

- Ty... złamałeś mu nogę?

- Jeszcze nie. Niemniej mam dar przewidywania i widzę, że Peterowi Lesterowi przydarzy się wkrótce straszny wypadek.

- Ale ja...

- Nie popierasz przemocy?

- Myślałam, że wszyscy prawnicy szanują prawo! Co masz w tej walizce?

- Wszyscy - szepnął surowo. - Ale ja jestem jugosłowiańskim oszustem.

- No nie! - Szukając innego tematu powtórzyła pytanie: - Co masz w tej walizce?

- Cztery kanapki - szepnął jej wprost do ucha. - Nora je przygotowała. Masz do wyboru kanapki z bekonem i jajkiem oraz z jajkiem i bekonem.

- Nie rozumiem!

- Właśnie tego potrzebuję. Zmieszanej klientki, która nic nie rozumie. A teraz wszystko co masz robić, to nie odzywać się, chyba że wsadzę ci palec pod zebro, o, w ten sposób. - Katie podskoczyła. Skąd wiedział, że właśnie w tym miejscu ma łaskotki?

- Ale...

- Kiedy tak zrobię, spojrzysz sędziemu prosto w oczy i powiesz: „tak, panie sędzio”. Jasne? - powiedział układnie.

Katie zaczynała odzyskiwać spokój. Nie wiedziała, jak zażegnać kłopoty, ale była przekonana, że on sobie z tym poradzi.

Uderzył sędziowski młotek.

- Panie sędzio! - Jack wstał. Spojrzała, zastanawiając się, dlaczego świat wydawał się jej teraz o wiele bezpieczniejszy. - Ja i moja klientka jesteśmy już gotowi.

Stary sędzia przyjrzał się im badawczo, a potem znów zdjął okulary i wytarł je nerwowo.

- Zgadzasz się, Katie?

- Tak, panie sędzio - szepnęła i spłonęła rumieńcem, bo Jack usiadł obok niej i połaskotał ją. - Tak, panie sędzio - powtórzyła najgłośniejszym głosem, jak mogła.

Sędzia uśmiechnął się, zastukał młotkiem i usiadł.

- Oskarżenie?

Tom Gerney, prokurator, wstał z krzesła niczym wieloryb wynurzający się na powierzchnię.

- Mamy jednego świadka, panie sędzio, i dowody rzeczowe wskazujące na to, że podejrzana jest winna posiadania marihuany z przeznaczeniem na sprzedaż. Wzywam zastępcę szeryfa, Paine'a.

- Znam go - szepnęła Katie, gdy Paine składał przysięgę. - Fatalnie tańczy.

- To nie ma wielkiego wpływu na jego pracę w policji - zauważył Jack. - Powiedz coś ciekawszego.

- Lubi wykorzystywać siłę swych mięśni. Typowy osiłek. Wydaje mu się, że jest drugim Johnem Waynem. Założę się, że wczoraj to on wyłamał mi zamek u drzwi.

- Ciekawe - zaśmiał się cicho Jack.

- ...Więc ten facet jechał z nadmierną prędkością, a ja go ścigałem - opowiadał Paine. - Potem zajechał przed ten dom, wbiegł i zamknął za sobą drzwi na klucz.

- Ten dom należy do podejrzanej?

- Tak, jasne. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszka rodzina Lovewellów.

- Proszę mówić dalej - poprosił sędzia.

- No więc on tam wszedł. Obszedłem wokół cały dom, sprawdzając, czy okna i boczne drzwi są otwarte. Wszystko było pozamykane.

Otworzyłem więc kopnięciem drzwi frontowe, a tam właśnie był Jeff Filmore. Spokrewniony z rodziną Lesterów, panie sędzio.

- Wiem - westchnął sędzia. - Proszę kontynuować.

- Na stole w holu leżała ta plastikowa torba z liśćmi. Dałem mu więc wezwanie do sądu za przekroczenie szybkości, a torbę przyniosłem na posterunek. Analiza chemiczna zawartości torby wykazała, że to marihuana. Czy chce pan przesłuchać technika, panie sędzio?

- Panie Lee? - sędzia zwrócił się do Jacka.

- Nie trzeba. Obrona chce oszczędzić okręgowi wszelkich kosztów. Zgadzamy się, że w torbie była marihuana lub cokolwiek innego, jeśli tak to sobie obmyśliła strona skarżąca.

Młotek sędziego uderzył w stół:

- Proszę uważać na słowa! - ostrzegł obrońcę stary mężczyzna.

- Sprawa przedstawia się tak - zabrał głos prokurator. - Dom należy do podejrzanej. W domu znaleziono marihuanę. Mamy wystarczające podstawy do tego, aby wszcząć proces.

Do miejsca dla świadków podszedł Jack Lee.

- Myślę, panie sędzio - powiedział tonem towarzyskiej pogawędki - że moglibyśmy jeszcze bardziej oszczędzić okręgowi wydatków, gdyby wolno mi było zadać świadkowi kilka pytań.

- To dość niezwykle - zachnął się zdenerwowany prokurator.

- Ale brzmi interesująco - przyznał sędzia. - Proszę, panie Lee.

- No cóż, panie...?

- Paine - rzucił nerwowo młody człowiek. W sposobie bycia tego gościa ze stolicy było coś, co wymuszało posłuch.

- Tak, zastępczo Paine. Pan ścigał pana Filmore'a za przekroczenie szybkości, czy tak?

- Tak. Jechał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę na Main Street.

- A po złapaniu zamierzał go pan aresztować?

- Nie. Wezwać do sądu za naruszenie zasad bezpieczeństwa ruchu i pouczyć. Chyba że byłby pijany. Ale nie był.

- A więc popełnił wykroczenie. Nie przestępstwo. Proszę mi teraz opowiedzieć dlaczego postanowił pan wyłamać drzwi w domu Katie Lovewell.

Policjant rozluźnił zbyt ciasny kołnierzyk. Wreszcie rozjaśnił twarz.

- No cóż, proszę pana - powiedział: - Po prostu ścigałem go, chcąc złapać na gorącym uczynku. Tak to nazywamy w...

- Wiem - uśmiechnął się do niego Jack. - Proszę dalej.

- Jak powiedziałem, ścigałem przestępcę, a ponieważ ukrył się za zamkniętymi drzwiami, włamałem się.

- I oczywiście miał pan nakaz rewizji w kieszeni?

- Po co miałbym nosić przy sobie coś takiego?

- Chce pan powiedzieć, że nie miał pan absolutnie żadnych podejrzeń co do tego domu, zanim pan wylał drzwi?

- Oczywiście, że nie. Powiedziałem już. To dom Lovewellów. Niczego nie podejrzewałem.

- Naturalnie. Ścigał pan przestępcę.

- Tak. Policja ma prawo włamać się wszędzie, gdzie znajduje się przestępca, którego ścigamy.

- A co z tym przestępcą? Miał klucz, tak? Zastępca zajął się.

- Prawdę powiedziawszy, miał dwa klucze. Przyniosłem je do sądu, gdyby pan zechciał...

- Ach, naturalnie. Myślę, panie zastepco, że nie potrzebujemy oglądać kluczy. Pan się włamał, innymi słowy rozbił pan zamek - niestety, w domu nie było żadnego kryminalisty. Czyż nie tak? Nie stwierdził pan przecież, aby popełniono przestępstwo. Jedynie wykroczenie. Niedobrze, panie Paine.

Młody zastępca opadł na krzesło dla świadków z półotwartymi ustami.

Lee zwrócił się do sędziego, który oglądał swoje paznokcie.

- Pan sędzia, naturalnie, przyznaje, że w sprawie, którą rozpatrujemy, funkcjonariusz nie miał prawa wylać drzwi, więc cokolwiek znalazł za drzwiami, nie może być traktowane jako dowód przeciwko mojej klientce. Wnioskuje o umorzenie postępowania.

- Zgoda. - Młotek zastukał, nim Lee skończył zdanie. - Postępowanie umorzono. Idź do domu, Rosalie.

- Ależ, panie sędzio... - Gerney usiłował wydostać się z fotela, lecz sędzia zdążył już wyjść. Katie wstała, zaskoczona, zmieszana. Lee podszedł do pulpitu prokuratora.

- Dziwne, prawda? - powiedział tak głośno, by usłyszeli go reporterzy. - Filmore jest w domu z narkotykami, ale zatrzymana zostaje moja klientka, której w tym czasie nawet nie było w domu. Co stało się z Filmorem?

- Miał być naszym świadkiem - wymamrotał Gerney.

- Idiotyczne - odburknął Lee. - Nawet student drugiego roku prawa dostrzegłby tu lukę. Nie chciałbym, aby moja klientka była jeszcze narażona na jakiegokolwiek szykany. Jakiegokolwiek. - Uderzył palcami o stół, aby podkreślić wypowiedziane słowa.

- Teraz, Katie, ta druga sprawa. - Przeszedł uśmiechnięty przez salę i wziął ją pod rękę.

- Mówisz, że jestem wolna? - wyjąkała. - Nie pójdę do więzienia?

- Głupie oskarżenie.

- Ale nie zostałam uznana ani za winną, ani za niewinną?

- Przykro mi, lecz tak to wygląda. - Widziała współczucie w jego oczach, ale postanowiła nie płakać. Podniosła głowę, wyprostowała ramiona i u jego boku wymaszerowała z sali, nie dbając o nic.

- Panno Lovewell... - Podszedł jeden z reporterów, gdy dotarli do drzwi.

- Moja klientka nie ma nic do powiedzenia - odsunął go Lee. - Moja klientka i ja rozważamy pozwanie kilku osób w mieście.

Już byli na chodniku obok nieprawidłowo zaparkowanego cadillaca.

- Nie ma mandatu? - odważyła się zapytać.

- Ależ nie - roześmiał się. - Bóg odważnym sprzyja. A teraz chciałbym, żebyś doceniła te kanapki. Próbowalaś kiedyś w motelu prowadzić kuchnię? Nora jest niezbyt szczęśliwa, że musi to robić, a musimy zostać tu jeszcze trochę. Nie mam pojęcia, gdzie się podziejemy - powiedział spoglądając na nią żałośnie.

- Musiałeś być kiedyś aktorem, ale kiepskim - odparła, gdy wsiadali do samochodu. - Fatalnie grasz. Błagasz o dach nad głową dla jedyne­go dziecka? Ona jest jedynaczką, prawda?

- Tak.

- I jakie to straszne być wypędzonym na śnieg, nie mieć znajomych ani krewnych...

- No cóż, przecież może spaść śnieg, nad górami zbierają się chmury.

- W Wirginii w kwietniu nie pada śnieg.

- Rzeczywiście. Wiesz co? Masz śliczne ręce, jak na taką dużą dziewczynę.

- Jeśli powiesz to jeszcze raz, uderzę cię.

- Co powiem?

- Duża dziewczyna - uśmiechnęła się z przymusem.

- Źle się czuję... Mam już dość bycia dużą dziewczyną!

- Wszystko jest względne - zaśmiał się. - Nie jesteś za duża. Nie dla mnie. Oprzyj mi głowę na ramieniu - przyciągnął ją do siebie.

Skorzystała z tej propozycji. Było jej bardzo wygodnie. Zamknęła na chwilę oczy.

Gdy się przebudziła, samochód stał przed motelem, a Jack i Nora znosili walizki do samochodu.

- Jak to miło z twojej strony! - krzyczała Nora.

- Nie mogłabym tu wytrzymać kolejnej nocy! Ani jednej! Dziękuję ci, Katie! - Temu „dziękuję” towarzyszył solidny, wilgotny pocałunek. - Jesteś cudowna!

- Jestem cudowna? - Katie próbowała zorientować się, co się właściwie dzieje. - Dlaczego jestem cudowna?

- Bo zaprosiłaś nas do tych twoich czternastu sypialni - powiedziało dziecko wesoło. - Czy mogę zająć tę na górze?

- Teraz nie możemy popędzać panny Lovewell - przerwał jej ojciec. - Biegnij i sprawdź, czy niczego nie zostawiliśmy.

Katie popatrzyła na podskakującą dziewczynkę i odwróciła się, aby przyjrzeć się jej ojcu. Zniósł jej piorunujące spojrzenie z niewinną miną.

- Czy ja was naprawdę zaprosiłam? - zapytała.

- Nora miała dobry pomysł. - Usiadł na przednim siedzeniu obok niej. Zanim zdołała znaleźć odpowiednie słowa, objął ją i przyciągnął do siebie.

- Chwileczkę! - zaprotestowała. - Muszę wiedzieć, co się tu dzieje. Kiedy to mianowicie zaprosiłam was do siebie?

- No, chwilę przed zaśnięciem - powiedział potulnie.

- Mówiłem ci, że...

- Tak, pamiętam. Opowiadałeś bardzo smutną historię o Norze zamkniętej w pokoju w motelu.

- No cóż, ona myśli, że ją zaprosiłaś, a ja nie zniósłbym jej rozczarowania.

- Niech cię diabli. Wszystko ukartowałeś, prawda? Dlaczego właśnie ja?

- Ponieważ... - westchnął i objął ja mocniej, aż się zetknęli udami. Jej opór zelżał natychmiast. Prawdę mówiąc, pomogła mu trochę, przesuając się na siedzeniu. Wreszcie znalazła się na jego kolanach, wciśnięta między jego klatkę piersiową a kierownicę. Jack delikatnie gryzł jej ucho. Robiło jej się coraz bardziej gorąco, a kiedy poczuła na swoich ustach gorące wargi Jacka zamknęła oczy i osunęła się bezwładnie w jego ramiona.

- Właśnie dlatego - powiedział cicho parę minut później. - Wolałbym, żebyś nie nosiła kolczyków. Psują całą przyjemność.

- Doprawdy? - odpowiedziała niewyraźnie. Już podnosiła rękę, żeby zdjąć kolczyk, gdy nagle przypomniała sobie o czymś.

- Dlaczego Nora tak długo nie wraca?

- Jesteś podejrzliwa.

- Nie mogę tego zmienić. Taka już jestem. Zbija pan z tropu, panie Lee. Ja... nie wiem, co z tym począć. Wczoraj byłam w strasznym stanie, a teraz nagle sprawiłeś, że... właściwie jestem szczęśliwa. Gdzie twoja córka? I dlaczego się tak głupio uśmiechasz?

- Po prostu się cieszę - zaśmiał się cicho. - Chcę, żebyś była zmieszana. A co do mojej córki, czeka na to. - Nacisnął klakson.

Prawie natychmiast Nora wypadła zza drzwi i podbiegła do samochodu.

- W porządku? - spytał cicho Jack.

- Oczywiście - odpowiedziała łagodnie Katie. - Ale nie musiałeś grać tej całej komedii. Przecież zrobiłabym to dla Nory.

- Jak to dla Nory? Tylko dla Nory? – Jack powiedział to z tak zawiedzioną i oburzoną miną, że Katie nie wytrzymała i zaczęła się śmiać.

- Często odgrywasz z córką takie komedie?

- Ależ nie. To premiera. - Przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchamiając samochód.

- Ten akt mógłby być bardziej dopracowany - powiedziała i przesunęła się na drugi koniec siedzenia.

- Dlaczego nie usiądziesz z przodu, Noro, między tatusiem a mną?

Zaproszenie zostało przyjęte entuzjastycznie. Dziecko z promiennym uśmiechem przekoziółkowało przez oparcie i usadowiło się między nimi.

- A gdzie mamy zamiar zjeść te kanapki, panie Lee?

- Och, nie, znów pan Lee?

- Nie jedz tych kanapek - szepnęła jej Nora do ucha.

- Mam wyjątkowo dobry słuch - wtrącił się ojciec.

- Jak na mężczyznę w twoim wieku - odpowiedziała Nora ze śmiechem. - Tak zawsze mówi babcia.

Katie znów musiała dokonać wyboru. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o kanapkach, bo burczało jej w brzuchu, ale bardziej interesowała ją babcia. A właściwie cała ta zwariowana rodzina. Rodzina? Czy to nie miłe słowo? Moja córka i ja... i... on? Marzycielka! Jak zwykle jej myśli się rozbiegły i straciła wątek.

- Czy twoja babcia lubi kanapki? - zapytała.

- Nie takie - powiedziała teatralnym szeptem Nora.

- Tatuś kupił je przedwczoraj w sklepiku przy drodze.

- To znaczy, że twój ojciec mnie okłamał! - oświadczyła dramatycznie Katie. Zabrzmiało to niczym tekst ze starego melodramatu.

- Nigdy w życiu - przerwał Jack. - Prawda zależy od punktu widzenia i... można naświetlać ją z różnych stron.

- On chce powiedzieć... - zaczęła Nora.

- Wiem, co chce powiedzieć - roześmiała się Katie.

- Chyba nie do końca - wtrącił się Jack. - A poza tym, babcia w ogóle nie lubi kanapek. Czy to wyjaśnia wszystko?

- Wszystko, ale nie zmienia faktu, że wciąż jestem głodna. A poza tym - westchnęła - myślę, że powinnam najpierw zajrzeć do pracy.

Przedszkole jest w pobliżu kościoła prezbiteriańskiego, a biblioteka zaraz za rogiem. Mógłbyś mnie tam podrzucić? To zajmie tylko chwilę. Mam dziś wolny dzień, ale nie wiem, czy nie będę musiała przyjść jutro.

- A potem? - popatrzył na nią nad głową córki.

- A potem... - zająknęła się. - Myślę, że pojedziemy wszyscy do domu, a ja przygotuję lunch... i... i zobaczymy.

- Prawdziwy lunch, tatusiu - pisnęła dziewczynka. - Przygotowany przez kogoś, kto zna się na kuchni! Ty umiesz gotować, prawda, Katie?

- Gotować? Tak, to jeden z moich niewielu talentów. Ale ostrzegam, nic wyszukanego.

- To cudownie! Tatuś nie ma pojęcia o gotowaniu, babcia też, i zawsze przypala... ojej, nie powinnam tego mówić, prawda? O, Katie, będziesz zbawieniem dla naszej rodziny. Czy to właściwe słowo, tatusiu?

- Właściwe, dziecko. Najwłaściwsze. To jest ten kościół? - spytał Katie.

- Tak. Za chwilę wrócę - powiedziała wesoło Katie i wyskoczyła z samochodu. Radość i entuzjazm tej zwariowanej pary były zaraźliwe.

Katie spostrzegła, że zupełnie zapomniała o Peterze i wszystkich przykrościach, jakich jej przysporzył. Nie pamiętała nawet dokładnie jego

nazwiska. Bardzo dobrze, pomyślała. Może wreszcie, po tym jak przepłakała cały ostatni rok, coś się zmieni?

- No, tak - mruknął Jack, widząc jak Katie wraca po krótkiej chwili z kamienną twarzą. - Co się stało?

- Straciłam pracę - wykrztusiła. - Wylali mnie.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu narkotyków - westchnęła. - Sąd nie stwierdził jednoznacznie, że jestem niewinna. Boją się o dzieci... Ale ja potrzebuję tej pracy. Potrzebuję!

- Teraz najbardziej potrzebujesz porządnego posiłku. Do diabła ze szkołą! I z biblioteką też. - Ruszył gwałtownie, ledwie dając jej czas na zapięcie pasów. Dziewczynka przysunęła się do niej.

- Tatuś tak mówi tylko wtedy, gdy jest wściekły - szepnęła. - Spójrz na jego brwi i rzęsy! - Katie zerknęła kątem oka. Brwi miał ściągnięte, rzęsy spuszczone, a jego usta poruszały się bezgłośnie.

- To pewny znak?

- Pewny. Ktoś będzie miał kłopoty.

- Mam nadzieję, że nie ja.

- Nie, on cię bardzo lubi. I ja też.

- To miło. - Katie chwyciła małą rączkę. - Ja też cię lubię. Choć dwoje, spośród nas trojga, to chyba zupełni wariaci.

- A może troje? - wtrącił Jack. Jechał szybko, nerwowo zaciskając usta. - To bardzo głupia sprawa. Dlaczego oskarżyli ciebie, a nie Filmore'a? Nie mieli żadnych dowodów, aby cię wiązać ze sprawą.

- Żadnych. Z wyjątkiem tego że Filmore był wtedy w moim domu - rzuciła Katie.

- Nieważne - kontynuował. - Musieliby powiązać cię albo z nim, albo z narkotykami. Sądysz, że to im właśnie zaproponował Filmore? Żeby wpłatać cię w narkotyki?

- Ale ja nigdy go nie widziałam! Może raz w życiu.

- Wiesz, to dziwne - powiedział po chwili Jack.

- Wydawało mi się, że prokurator i zastępca szeryfa robią wszystko, żeby cię pogrążyć, podczas gdy ten stary sędzia jakby trzymał twoją stronę. Jak myślisz, dlaczego?

- Starzy i nowi. Po prostu - odparła. - Widzisz, sędzia, moi rodzice, my wszyscy, prawie czterdzieści procent mieszkańców miasta, mieszkamy tu razem od lat, jesteśmy jakby jedną rodziną. A oni, tacy jak prokurator, Fessendenowie, Lesterowie są w tej okolicy nowi. Są bogaci i chcą opanować miasto, ale stary porządek się broni. I stąd konflikty. Ale co z tym wszystkim ja mogę mieć wspólnego? Przecież ode mnie nic nie zależy...

- Ale coś masz - mruknął Jack po paru minutach. - Masz piękny dom i wielką posiadłość. Kto mógłby mieć ochotę na twój dom lub ziemię?

- Nie wiem, nie znam nikogo takiego - westchnęła.

- Myślałam nawet, żeby go sprzedać, ale w tych okolicach nie było zbyt wielu chętnych. A tobie przychodzi coś do głowy?

- Chyba nie - odparł, gdy zatrzymali się już przed domem. - Ale w takich przypadkach warto pamiętać, że jest pewna stara rzymska zasada. Cui bono.

Pozostawił to bez komentarza. Przecież nie przyznam się do takiej ignorancji, pomyślała Katie.

- Co to znaczy, tatusiu? - spytała Nora, przychodząc jej z pomocą. -
Cui jak mu tam?

- Cui bono? - powtórzył ojciec. - „Kto na tym skorzystał”.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Pyszne - powiedział Jack, odsuwając krzesło. Patrzył na resztki lunchu. Cienkie plastry pieczeni wołowej po angielsku, pieczone ziemniaki, szpinak i surówka.

- Nie miałeś ochoty na surówkę? - rzuciła ostrożnie Katie.

- No cóż, ty ją jadłaś, więc nie chciałem ci zabierać - zaśmiał się cicho. - Szczerze mówiąc, jadam głównie mięso i ziemniaki. To oczywiste, gdy mieszka się w Waszyngtonie i jada poza domem.

- Tak - włączyła się Nora. - A ja musiałam zostawać u babci i jeść francuskie potrawy. - Jej ton wskazywał, że kuchnię francuską ceni raczej nisko. - Najbardziej lubię masło orzechowe i galaretkę.

- Następnym razem będzie - prawie przyrzekła Katie. - Ale musisz jeść warzywa.

- Tatuś nie je.

- Ale będzie jadł. Na pewno.

Ojciec nie sprawiał wrażenia zachwyconego tym pomysłem. Potrząsnął przecząco głową, lecz zobaczywszy grymas na twarzy Katie, nagle zainteresował się plackiem z jabłkami.

- W dużym mieście nieczęsto widzi się coś takiego - zauważył.

- W tych stronach możesz dostać każdy placek, pod warunkiem, że będzie z jabłkami - powiedziała, usiłując powstrzymać śmiech. - Teraz zmykajcie i wybierzcie sobie sypialnie, a ja pozmywam naczynia, dobrze?

- Nie powinno ci to zająć dużo czasu. - Jack i Nora zaczęli ustawiać naczynia w zmywarce.

- Przykro mi, ale zmywarka jest zepsuta - zmartwiła ich Katie.

Jack natychmiast zajrzał do środka.

- Zepsuta? - Poprawił umocowanie sznura, zamknął pokrywę i uruchomił zmywarę. - Wszystko w porządku, łaskawa pani.

- Czy nie mówiłam ci, że tatuś to wielki majster? - Nora próbowała sformułować coś w rodzaju tezy. - Dobrze go mieć pod ręką.

To dziecko wyraźnie jej coś sugerowało... Katie zaczerwieniła się, ale udała, że nie słyszała ostatniego zdania.

- Nie widzę usterki - powtórzył Jack.

Katie potrząsnęła głową. Zwariowana para.

- Sprawdź wodę - zasugerowała. Spojrzał zaskoczony, podniósł pokrywę i wsadził palec w bęben zmywarki.

- Z wodą wszystko w porządku - zakomunikował. Córka pociągnęła go za rękaw.

- Powinna być gorąca - powiedziała konspiracyjnym szeptem.

- Och, gorąca! Czy coś nie tak z gorącą wodą?

- Po prostu jej nie ma - powiedziała Katie.

- Aha. - Rozjaśnił twarz niczym Sherlock Holmes na tropie. - No dobrze, zostawmy na razie tę zmywarę. Wiesz co? Opowiedz mi o tym wszystkim jeszcze raz.

- Opowiedzieć ci? Muszę się zastanowić. Będę zmywać naczynia i myśleć, a wy tymczasem wybierzcie sobie sypialnie.

- Nie sądzisz, Noro, że ona chce się nas pozbyć?

- Mhm. Lepiej chodźmy stąd.

- Och, i ogrzewanie nie działa - powiedziała Katie. - Więc jeśli wybierzecie sypialnie na drugim piętrze, będzie wam zimno.

- Ani gorącej wody, ani ogrzewania? - prowokował.

- No cóż, to nie hotel.

- Daj spokój, tatusiu. Nie dokuczaj jej.

- Dziecko! Jak możesz tak mówić do swojego tatusia!

- Nie dokuczaj jej, tatusiu. - Dziewczynka tupnęła nogą. - Nie chcę, żeby odeszła! - Ojciec myślał przez chwilę i wreszcie uśmiechnął się szeroko.

- Uroczą myśl - zadumał się. - Jesteś nieodrodną córką swego ojca. - Wypadli z kuchni, zostawiając ją zmieszaną i zakłopotaną.

Po jakimś czasie usłyszała, jak buszują na górze. Dom był solidny, ale półtora wieku intensywnego użytkowania spaczyło deski i dźwięki rozchodziły się wszędzie. Na pewno przydałyby się w domu dywany. Dywany, nowy dach, piec, a przede wszystkim pieniądze na zapłacenie rachunków. Zwłaszcza że do końca kwietnia zostało tylko dwadzieścia dziewięć dni.

Kiedy indziej ta myśl wprowadziłaby ją w popłoch, lecz teraz otaczało ją tyle szczęścia, że nie potrafiła martwić się dłużej niż minutę.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - Na progu stała Nora. Widocznie zdążyli już wybrać sobie sypialnie.

- Właściwie... tak. Co twój tatuś lubi poza rostbefem?

Nagle dobiegł ich odgłos ciężkich kroków ze schodów prowadzących do piwnicy.

- Słuchajcie, dziewczyny - Jack wszedł do kuchni - muszę wrócić do tego sklepu po zawór kontrolny, przewód i parę złączy. Zanim coś powiesz – zwrócił się do Katie - mogłabyś łaskawie sprawdzić najpierw instalacje w piwnicy, a nie bujać jak...

- Idź stąd - przerwała mu córka. - To babska rozmowa.

- Podejrzewam, że o babskiej rozmowie wiecie tyle, co o chińskich kaktusach - roześmiał się.

Katie chciała rzucić jakąś miażdżącą uwagę, ale nim otworzyła usta, już go nie było.

Nora złapała ścierkę do naczyń. Wyraźnie chciała sprawić wrażenie pracowitej, dobrze ułożonej dziewczynki. Mogłaby nią być, ale przy takim ojcu... Cóż, kto wie?

- Masz chłopca, Katie?

- Ja... nie, chyba nie. Nie domyłam tej miski. Daj mi ją.

- Myślałam, że... Nie masz żadnych wielbicieli? - nie dawała za wygraną dziewczynka.

- Wielbicieli, kochanie. Wielbicieli, nie wielbicieliów.

- Masz rację. Cieszę się.

- Dlaczego? Dlatego że to już ostatni talerz? Jak myślisz, co twój ojciec chciałby na kolację?

- Może masło orzechowe i galaretkę?

- Wątpię. A co powiesz na rybę? Mam filety. Lubisz ryby, Noro?

- Jasne. - Odpowiedź była mało entuzjastyczna. Z gatunku tych, jakich udzielają dzieci, gdy bardzo się starają, aby nie sprawiać dorosłym zbyt dużo kłopotów.

- I trzy rodzaje warzyw? - Powiedziała to złośliwie, zdawała sobie z tego sprawę. Ale komu chciała zrobić na złość? Biednemu dziecku?

- Wszystko jedno. Ostatecznie mogą być. Tak mówi tatuś - powiedziała ugodowo, ale znów bez entuzjazmu, Nora.

- To nas do niczego nie doprowadzi - roześmiała się Katie. - Chodź, pomóż mi znaleźć pościel i przygotować posłania.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że Nora nie wybrała małej sypialni na górze, lecz upatrzyła sobie pokój sąsiadujący z pokojem Katie, oddzielonym jedynie wspólną łazienką.

- A tatuś?

Na twarzy dziecka pojawił się znajomy uśmiech.

- Tu. - Otworzyła drzwi sypialni po przeciwnej stronie holu, olbrzymiej, zajmującej niemal połowę południowego skrzydła domu.

- Dlaczego wybrał właśnie tę?

- Bo łóżko jest takie duże, dlatego. Gdzie są prześcieradła?

Znalezienie potrzebnych rzeczy, starannie zapakowanych w worki nasączone kamforą, zajęło niemal godzinę. Tymczasem zajechał Jack, wzbijając przed domem tuman kurzu. Obie zeszły, aby go powitać, ale on już był w piwnicy i zabrał się z miejsca do pracy. Wreszcie wydał triumfalny okrzyk.

- Hej, tam na górze - ryknął. - Nastawcie termostat na czterdzieści stopni!

Katie wykonała jego polecenie. Z piwnicy rozległ się brzęk, jęk, ruszyły silniki, a po chwili pojawił się Jack. Był wysmarowany sadzą i smarem, ale twarz mu promieniała szczęściem.

- Naprawiłeś?

- Tatuś naprawia wszystko - powiedziała z oburzeniem Nora. - Tylko babcia mu nie pozwala niczego ruszać u siebie.

Jack rzucił dziecku ostrzegawcze spojrzenie.

- Niedoceniony talent? - Katie z trudnością zachowywała powagę. - Co się stało?

- Przerwał się przewód dopływowy, doprowadzający olej ze zbiornika. Musiałem wymienić przewód, zawór bezpieczeństwa i posprzątać. To wszystko. Bardzo stara instalacja. Powinnaś wezwać hydraulika. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- To nie takie łatwe - westchnęła. - Dom jest daleko od miasta, a hydraulicy mają określone godziny pracy. - Po chwili dodała ciszej: - I nie przychodzą, jeśli nie mogą liczyć na zapłatę.

- A więc chodzi o pieniądze?

- Tak. A poza tym... no cóż. Do końca kwietnia zostało już niewiele czasu i...

- Cóż to znowu? Trzymałaś się dzielnie przez cały dzień. Koniec z płaczem. Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Ja... muszę przygotować kolację. Pociągnął ją i posadził na kanapie.

- Będziesz się lepiej czuła, gdy mi o tym opowiesz - powiedział cicho. Otoczył ją ramieniem i wziął pod brodę. Nora usunęła się cichaczem. Jeśli mnie pocałuje, będzie po mnie, pomyślała. Przysunął usta do jej ust. Wyteżyła wszystkie siły, mając nadzieję, że znajdzie dość energii, aby zaprotestować. Ale właśnie gdy stwierdziła, że nie znajdzie, w całym domu rozległ się straszliwy hałas. Budynek zatrzęsł się w posadach.

Do pokoju wbiegła przestraszona Nora.

- Tatusiu?

- Dobry Boże - westchnął. - To kaloryfery. Przed przylutowaniem nowego odcinka musiałem spuścić wodę z rur. Kiedy znów wpuszcza się wodę, w rurach jest dużo powietrza. Teraz trzeba wypuścić powietrze ze wszystkich kaloryferów. Do dzieła, drużyno.

- Muszę przygotować kolację - wtrąciła pośpiesznie Katie.

- Nie wiem, jak wyglądają odpowietrzacze - dodała płaczliwie Nora.

- Dezercja z pola bitwy! - zawyrokował surowo, ale zaraz

uśmiechnął się szeroko i pobiegł do piwnicy.

- Pocałował cię, Katie? - zapytało dziecko.

- Nie, daj spokój. - Cóż, to uczciwa odpowiedź, powiedziała sobie.

Była rzeczywiście o krok od zupełnej kapitulacji. - Chodźmy, dziecko.

Pomęczmy się z rybą.

Reszta popołudnia upłynęła spokojnie. Katie i Nora przyrządzały kolację, a Jack Lee zajął się odpowietrzaniem instalacji. O czwartej dziewczęta usiadły na werandzie. Wkrótce dołączył do nich uśmiechnięty „tatuś”.

- Najlepsze popołudnie od miesięcy - powiedział, wyraźnie zadowolony z siebie. Otworzył piwo i pociągnął spory łyk prosto z puszki.

- Mamy przecież szklanki - upomniała go łagodnie Katie.

- Daj spokój - zaśmiał się cicho. - Ja tak lubię. No i jak, dziecko?

- Nie jestem dzieckiem - odpowiedziała Nora z godnością. - Tatusiu, wszystko jest cudowne. - Wskazała ręką ku zachodowi, gdzie płaski wierzchołek Massanutten zdawał się podtrzymywać słońce na niebie.

- Podoba mi się tu, tatusiu. Powinniśmy zamieszkać w takim właśnie miejscu.

Była to cicha, pełna zadumy prośba. Katie otoczyła ramieniem dziewczynkę i uścisnęła ją lekko. Dziecko przytuliło się i westchnęło z zadowoleniem.

- Nie popisuj się - ostrzegł ojciec. - Tu jest bardzo miło. Naprawdę. I zaledwie ile? Sto kilometrów od Waszyngtonu?

- Coś koło tego. Ale drogi nie idą prosto. Prowadzą na północ, w kierunku Winchester - wyjaśniła Katie.

- Tak? - Zmarszczył brwi i myślał intensywnie przez chwilę. Wreszcie wstał.

- Zostało prawie trzy godziny do zachodu słońca? - spytał niespodziewanie.

- Mniej więcej. Słońce chowa się koło siódmej - odparła Katie. - A dlaczego pytasz?

- Twój zegar spieszy się dwie godziny. Przed chwilą wybił szóstą... Ale nie o to chodzi. - Katie patrzyła na niego zdumiona. - Podejrzewam, drogie panie - Jack oparł się o słup podtrzymujący werandę i uśmiechnął szeroko - że dziś wieczorem możemy spodziewać się gości. Ostatnia próba zastraszenia panny Katie - wyjaśnił, usiłując mówić z miejscowym akcentem.

- Nigdy się tego nie nauczysz - roześmiała się Katie. - Północny akcent nie jest taki łatwy. Ojej, kolacja! - Katie poderwała się nagle i pobiegła do kuchni. Poszedł za nią, zostawiając Norę na schodach.

- Więc nie podoba ci się mój akcent?

- Musisz jeszcze sporo popracować. Ale nie martw się. Większość regionalnych dialektów w dużych miastach zanika. Moi profesorowie mówili, że wcześniej czy później w Stanach będzie się mówić po prostu po amerykańsku.

- Twoi profesorowie?

- Zaskoczyłam cię? - roześmiała się, wstawiając do piecyka tacę z filedami. - Studiowałam ponad dwa lata na Uniwersytecie Stanowym Wirginii. Teraz sama w to nie mogę uwierzyć, ale tak było. Widzisz,

dopiero w ciągu ostatnich miesięcy wszystko wokół zaczęło się walić... -
Odwróciła się nagle do Jacka.

- Dlaczego, Jack? Dlaczego?

- Właściwie nie wiem, co się stało, więc nie mogę ci na to
odpowiedzieć - powiedział cicho. - Musisz mi zaufać, Katie. Opowiedz mi
wszystko.

Przygotowywała surówkę. Garnek z ryżem bulgotał na kuchni.
Pomyślała o minionych miesiącach. I o tym, co się stało przez ostatnie dni.
To dobry człowiek, ten Jack Lee. Tak właśnie nazwałby go ojciec. Dobry
człowiek. Właściwie dlaczego miałyby mu o sobie nie opowiedzieć? Może
nie wszystko, ale przynajmniej część?

- Byliśmy szczęśliwą rodziną - westchnęła. - Tata odziedziczył spory
majątek, matka też. Ale kochali się tak bardzo, że o mnie chyba trochę
zapomnieli... - urwała nagle. Coś ścisnęło ją za gardło. Przełknęła ślinę i
mówiła dalej. - Mieliśmy też ziemię. Sto hektarów. Z tego osiem na
uprawę tytoniu. Wiesz, co to oznacza?

- Subwencje rządu federalnego. Cenna rzecz. Możesz wydzierżawić
prawa innym farmerom.

- Nie - powiedziała ze złością. - Nie o to chodzi.

- Więc o co? Opowiedz mi.

- My... matka zmarła przed czterema laty - zaczęła znów. - Przejechał
ją samochód. Możesz sobie to wyobrazić? Nigdy mi nie powiedziała, że
mnie kocha, ja też jej nigdy tego nie powiedziałam. I nagle, kiedy odeszła,
było już za późno.

Nie chciała tego powiedzieć. Zatkąła ręką usta, jakby chcąc
wstrzymać potok słów, ale Jack nie zamierzał dać jej uciec.

Zbliżył się i objął ją, przekroczył niewidzialną granicę, która ich dzieliła. Ciepło jego uścisku rozbroiło Katie i osłabiło jej opór.

- Chcieli mieć chłopca - wymamrotała. - A może śliczną, słodką, małą dziewczynkę podobną do mamy. A ja nie byłam ani słodka, ani mała. Więc pogodzili się z tym, ale zostawili mnie samą sobie. Byłam brzydkim kaczątkiem. Bardzo się starałam być podobna do mamy, ale ona nie miała nawet metra sześćdziesięciu. Tatuś miał tylko metr siedemdziesiąt. Oni... po prostu nie wiedzieli, co ze mną zrobić.

- Jak sobie dawałaś z tym radę?

- No... próbowałam zmaleć, ale byłam zbyt niezręczna. Więc tatuś usiłował wychować mnie jak chłopca. Po moich dwunastych urodzinach wiadomo już było, że nic z tego, więc wysłali mnie do szkoły. No a potem zmarła mama.

- I co wtedy?

- Tatuś załamał się. Potrzebował mnie. Wróciłam więc do domu, lecz on po śmierci mamy przestał interesować się czymkolwiek, z wyjątkiem hazardu. I w końcu, przed dziewięcioma miesiącami, zmarł na raka płuc. Pierwsza rzecz, jaką zrobiłam po pogrzebie, to zaorałam plantację tytoniu. Nie zamierzam już nigdy uprawiać tego chwastu.

- Tak - powiedział ostrożnie. - No, cóż...

Oto, jak interesująca jest historia mojego życia, pomyślała z goryczą. Wystarczyło spojrzeć na Jacka. Zmarszczone brwi, oczy bez wyrazu. Widać było, że nie wie, co powiedzieć. Myślam jest teraz pewnie jakieś sto mil stąd. A ciekawe, gdzie jest teraz jego żona?

Bezwiednie dotknęła rękami gorącej krawędzi naczynia z rybą. Krzyknęła, naczynie wysunęło się z piecyka i upadło na podłogę do góry

dnem. Wsadziła poparzone palce do ust, poczuła łyzy płynące po policzkach.

- Ja... nie wiem, co robię - powiedziała drżącym głosem.

- Chodź tutaj - powiedział, prowadząc ją do zlewu. Zimna woda przyniosła ulgę.

- Już w porządku. To tylko małe oparzenie. Zostaw mnie... proszę - mówiła nieskładnie.

Jego twarz była tak blisko, że całkiem zasłoniła jej pole widzenia. Czowała jego zapach - zapach mężczyzny. Prawdziwy mężczyzna. Dlaczego tak reaguje na każdy jego ruch?

- Powinnaś przez jakiś czas trzymać ten palec z dala od kuchni - powiedział. Miała zaczerwienioną twarz, a on stał tak blisko. Wciąż zbyt blisko. Uspokój się, Katie, powtarzała w duchu, on przecież nie robi nic niezwykłego. Nawet cię nie dotyka. Po prostu stoi. Dlaczego więc brakło jej tchu, a serce tłukło się jak oszalałe?

Desperacka potrzeba przerwania napięcia spowodowała, że wreszcie odsunęła się. Nogi miała jak z ołowiu.

- Kolacja przepadła! - zawołała łamiącym się głosem.

- Nie moglibyśmy tego po prostu pozbiierać i umyć? - zaproponował rzeczowo.

- Oczywiście, że nie - prawie krzyknęła. - Za jaką... gospodynią mnie uważasz?!

Rzuciła się w stronę piecyka. „Za jaką żoną mnie uważasz?” Tak właśnie chciała powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. To niebywale, jak na nią działał. Wystarczyło, że stanął obok, a zupełnie traciła głowę!

- Hej, pozwól mi posprzątać, zanim rzeczywiście narobisz bałaganu.

- Duże ręce uniosły ją z podłogi i odstawiły na bok, jak gdyby była nie większa od Nory.

- Noro! - Ten wrzask było pewnie słycać we Front Royal, a może nawet w Winchester. Dziecko wbiegło, uśmiechając się szeroko.

- Noro, nasza gospodyni oparzyła sobie rękę. Skocz do łazienki i poszukaj solarcanu.

- Jest w naszej łazience - dodała Katie. Dziewczynka pobiegła, a Jack usadził Katie na kuchennym krześle.

- Siedź tu - rozkazał i zaczął sprzątać.

- Jaki władczy - mruknęła pod nosem.

- Lepiej, żebyś w to uwierzyła - zaśmiał się. - Gdybyśmy z Norą pojechali na wycieczkę, po prostu oczyścilibyśmy rybę i zjedli ją. Gdzie, u licha, jest pojemnik na śmieci?

- Nie pamiętam. Ja... od tygodnia nie zamiatałam podłogi - wymamrotała ze wstydem tak wielkim, że ból palców stał się przy nim niewielkim i mało istotnym drobiazgiem.

Nora wbiegła do kuchni z tubką balsamu.

- Co będziemy jeść na kolację? - spytała.

- Ostatnio trochę przytyłem - powiedział Jack. Znow ten namaszczony głos, pomyślała Katie. Zupełnie jakbym była w sądzie.

- Więc może moglibyśmy popościć? - zapytała Katie. - Ale przecież możemy wyjść coś zjeść. W Stanfield są dwie mile, małe restauracyjki... Ja stawiam.

Powiedziała tak, choć nie miała pojęcia, skąd weźmie pieniądze. Jej karta kredytowa dawno się wyczerpała.

Dobry Boże, oczywiście, że mam, olśniło ją. Ten pięćdziesięciodolarowy banknot od pani Fessenden! Jej twarz rozjaśniła się natychmiast.

- Wiesz, Katie, że masz wspaniałą twarz? - powiedział Jack. Podniosła podejrzliwie głowę, jak zawsze, gdy ktoś próbował powiedzieć jej coś miłego. I rzeczywiście - natychmiast ją zranił: - Można czytać w twoich myślach.

Tylko spokojnie, powtarzała sobie. Spokój i godność. Albo atak. To również musiał odczytać, pomyślała, widząc, że cofa się ze śmiechem o krok.

- Nie możemy dziś wyjść. Oczekuję gości - Spojrzał na zegarek.

- Ja mogę przygotować kolację - wtrąciła Nora. Katie spojrzała na nią ze zdziwieniem. Ośmiolatka?

Kolację? Ale ojciec nie wydawał się zaskoczony propozycją Nory.

- Dobry pomysł - stwierdził. - Mam parę rzeczy do zrobienia na zewnątrz. Powinnaś wiedzieć, Katie, że w kuchni może być tylko jedna kucharka. Więc idź na górę, a Nora przygotowuje dla nas ucztę. Dobrze?

Uśmiechnął się i palcem wskazał na drzwi tak samo, jak sędzia baseballowy wskazuje gracza wykluczonego z gry.

Katie poszła na górę, weszła do łazienki i stwierdziwszy, że jest ciepła woda, napełniła wannę, by leniwie zanurzyć się w kąpieli.

Przed szóstą zeszła na dół, ponaglana wołaniem Nory. Stół kuchenny był nakryty. Lokatorzy czekali. Jack wstał i odsunął jej krzesło. Usiadła jak księżna, przygotowana niemal na wszystko... z wyjątkiem kanapki z masłem orzechowym pośrodku talerza. Popatrzyła na nich. Odwzajemnili spojrzenie i po chwili wszyscy wybuchnęli zgodnym śmiechem.

Gdy po kolacji ojciec Nory odsunął krzesło i zaczął zbierać naczynia, dziecko przybliżyło się wyczekująco do Katie. Ta odruchowo otoczyła małą ramieniem i ciepło uścisnęła. Było to takie kojące, a zarazem takie zwyczajne.

Z kawą przeszli na werandę. Niebo na zachodzie zapowiadało pogodny poranek.

- „Czerwone niebo o zmierzchu to rozkosz żeglarza” - zacytowała jakiś wiersz.

- Żeglarza? W tych stronach?

- Cóż, mamy tu przecież tyle rzek, tyle jezior... Nie tylko na morzu są żeglarze.

- Oczywiście. - Znów pogрузił się w myślach. Po chwili ciszy zapytał: - Czy w twojej posiadłości jest jakieś jezioro?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Tak tylko. Przypuszczam, że twoje ziemie leżą po drugiej stronie domu.

- Nie. - pokręciła głową. - Są przed nami. Ciągną się aż do autostrady.

- Aha.

Rozmowa się urwała. Przez chwilę wszyscy milczeli.

- O której godzinie chodzisz spać, Noro? - spytała Katie, widząc, jak dziecko zaczyna ziewać.

- O ósmej. Czasem o dziewiątej. Kiedy tatuś... kiedy możemy być razem.

- A więc czas spać - powiedziała Katie. - Czy mogę cię zabrać na górę?

- I opowiedzieć mi bajkę?

- I opowiedzieć bajkę.

- Tatuś nie umie opowiadać bajek.

- Trudno w to uwierzyć - roześmiała się Katie. - Myślałam, że wszyscy prawnicy to potrafią.. Wiesz co, znam parę bajek. Jestem przecież bibliotekarką.

- W jaki sposób zostałam bibliotekarką? - zapytał Jack. Sprawiał wrażenie, że naprawdę go to interesuje.

- Na uniwersytecie, studiowałam bibliotekoznawstwo. Chodźmy, Noro.

- Jeszcze chwilę. - Podniósł rękę. Nasłuchiwał czegoś w oddali. - Chciałbym, żeby dom wyglądał tak samo, jak wówczas gdy byłaś sama - powiedział wreszcie cichym, stanowczym głosem. - Nie zapalaj więcej świateł niż zwykle, Katie. I opowiadaj długo. Nie schodź, dopóki cię nie zawołam. Dobrze?

- Ja... - Chciała się spierać, ale w jego postawie było coś, co ją powstrzymało. I wówczas zauważyła coś jeszcze. Jego samochód znikł przed domu i wydawało się, że ktoś zatarł po nim wszelkie ślady. Może to złudzenie, pomyślała, ściskając Norę za rękę i prowadząc na górę. Odwróciła się jeszcze, chcąc powiedzieć coś Jackowi, ale już go nie było na werandzie.

Kąpanie dziecka było dla niej nowym doświadczeniem. I miłym.

- Ale ja już się kąpałam - protestowała Katie, gdy po raz dziesiąty została ochlapana wodą. Dziewczynka była zachwycająca. Miała podrapaną skórę, mnóstwo piegów i pieprzyk w dole pleców. - Jaki uroczy pieprzyk, Noro.

- To rodzinne. Babcia taki ma i tatuś też, ale trochę niżej. Powinnaś go zobaczyć.

Ja powinnam zobaczyć pieprzyk tatusia? To będzie dzień! Katie śmiała się, sięgając po ręcznik kąpielowy.

- Dlaczego się tak czerwienisz? - Nora patrzyła na nią z ciekawością. Na twarz Katie wystąpiły kolejne rumieńce.

- To... ta para - zająknęła się. - W łazience jest ciepło, a ja nie jestem przyzwyczajona.

W długiej, bawełnianej koszulce Nora wyglądała przepięknie.

- Tatuś mi ją kupił - powiedziała. - Czy już czas na bajkę?

- W moim łóżku - zaproponowała Katie. - Tatuś powiedział, żeby nie zapalać więcej świateł niż zwykle. - Dziewczynka pisnęła z radości i popędziła do sypialni Katie. Wielkie łóżko zmieniło się w trampolinę, gdy skoczyła trzy razy do góry.

- To łóżko jest bardzo stare - powiedziała Katie odwijając koce. - Mogłoby się zawalić, wiesz?

- Ojej, wytrzyma - odpowiedziała Nora. - Mam tylko dziewięć lat.

- Dziewięć? Myślałam, że... nieważne. Czy słyszałaś bajkę o czterech niedźwiadkach?

- O trzech niedźwiadkach - poprawiło dziecko.

- Dawno, dawno temu...

- Cóż, w mojej bajce są cztery - powiedziała Katie, otulając kocem szczupłe ramionka dziecka. Dziewczynka oparła się na poduszkach i zaczęła słuchać. Ledwie dotarły do momentu, w którym cztery niedźwiadki gonią Czerwonego Kapturka wokół stołu, gdy usłyszały warkot silników. Katie położyła palce na wargach dziecka. Później

podeszła do okna i zerknęła zza firanki. Trzy samochody w świetle księżycy wyglądały złowieszczo. Po chwili rozległo się głośnie stukanie do drzwi.

- Chcę z tobą porozmawiać, Katie! - ryknął ktoś.

- Wiem, że tam jesteś!

- Taak, chcemy tylko porozmawiać! - wtórował z samochodu jakiś inny głos, któremu towarzyszył wybuch śmiechu. Drzwi zatrzeszczały, gdy stukanie przeszło w łomot.

- Lepiej nas wpuść, Katie!

- Tak, panienko! - Znów śmiech z samochodów. Nagle ku zdumieniu wszystkich, łącznie z Katie, gdzieś w ciemnościach rozległ się wzmocniony przez głośniki groźny głos:

- Uwaga! Jesteście otoczeni. Jeśli ktoś zrobi fałszywy krok, będziemy strzelać!

Katie, z sercem w gardle, wróciła niezdarnie do łóżka.

- To tylko tatuś bawi się w policjantów i złodziei

- zachichotała dziewczynka.

Katie nie wiedziała, co powiedzieć. Padła na łóżko, trzymając ręce dziewczynki i dodając sobie w ten sposób otuchy. Wtem usłyszała strzały. Pasażerowie zaczęli krzyczeć z przerażenia. Ci z werandy rzucili się do samochodów. Ryknęły silniki i trzy pojazdy, wzbijając kurz i żwir, pomknęły w kierunku szosy.

- O Boże - niemal krzyknęła Katie. - Twój ojciec! Zanim zorientowała się, co robi, już zbiegała po schodach. Przecież zawsze panicznie bała się bronii i strzelania. Dlaczego więc teraz tak biegła? Ze względu na niego?

Myśl ta oszołomiła ją jeszcze bardziej. Szarpnęła drzwi wejściowe i zaczęła pędem zbiegać po stopniach werandy. Po chwili zatrzymała się. Nie było potrzeby biec dalej.

Z ciemności wynurzył się Jack z szerokim uśmiechem na twarzy. Muskularne ramiona rozpostarły się, podniosły ją z ziemi i mocno przycisnęły.

- Chyba już więcej tu nie wrócą - roześmiał się, a potem ją pocałował. W tej samej chwili świat zawirował i rozpadł się na kawałki. Katie zawisła w jego ramionach bezwładnie, niezdolna by pojąć, gdzie jest i co się właściwie z nią dzieje. Ale nawet nie usiłowała próbować. Gdy wreszcie ją uwolnił, zachwiała się i z trudem złapała równowagę.

- Przestraszyłem cię? - zapytał. Widziała niepokój na jego twarzy. O Boże, zlituj się! Po tym wszystkim on się o nią martwił!

- To ja się o ciebie martwię! - wrzasnęła na niego. - Ty, ty... mogłeś zginąć! Musisz być ostrożny, bo... jeżeli nie, to... nigdy się nie pozbieram.

- Daj spokój - powiedział, zaniepokojony jej reakcją. - Było ich tylko pięciu.

- Nie o nich chodzi! - krzyczała. - Mogłeś zostać ranny... - Słowa utkwily jej w gardle. Nagle rzuciła się na niego, uwiesiła na szyi i zaczęła gwałtownie całować. Początkowo był zaskoczony, ale zaraz się jej odwzajemnił. Przeszali dopiero wtedy gdy usłyszeli Norę z okna na górze.

- Jeśli będziecie tu całą noc, nigdy nie doczekam się końca bajki! - wrzasnęła.

Oboje z trudem chwyтали powietrze.

- Przecież mogło ci się coś stać - wykrztusiła wreszcie Katie.

- Niby co? - Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. - Przecież nie od tego! - pokazał jej fajerwerki. - Połowa tego dziadostwa nie wystrzeliła. Nigdy już nie kupię fajerwerków w Maryland!

- Fajerwerki? - zaczerpnęła powietrza. - A niech cię...

- Nieładnie, Katie Lovewell - powiedział, chwytając jej rękę, by się przed nią obronić. - Damy z Południa nie używają takich słów.

- Nic nie powiedziałam - sapła, próbując się uwolnić.

- Ale pomyślałaś!

Tak właśnie było. A niech go diabli!

Stał tuż obok. Oświetlona przez księżyc, jego twarz wyglądała teraz rzeczywiście diabelsko. W ciemnościach widziała tylko ostre, wyraziste rysy jego twarzy i otoczone szeroką linią czarnych brwi błyszczące białka oczu. Czy mam do czynienia z samym Belzebubem, czy tylko z jego kopia, pomyślała i nagle, ku zdumieniu Jacka, zaśmiała się cicho.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia Katie obudziła się wyjątkowo późno. Słońce było już wysoko nad górami.

Podbiegła do uchylonego okna, przez chwilę wdychała głęboko rześkie powietrze i rozkoszowała się śpiewem ptaków. Z jakiegoś powodu sam fakt istnienia wydawał się jej tego właśnie poranka cudowny. Jak zwykle, szybko zabrała się do gimnastyki porannej. Wykonując ćwiczenia przypomniawszy sobie poprzedni wieczór i nastrój jej radykalnie się zmienił. Cóż za zuchwały mężczyzna!

W łazience była gorąca woda. Ale ciepły prysznic nie uspokoił Katie. Złość rosła w niej z minuty na minutę. Gdy wreszcie skończyła się kąpać, była gotowa zaatakować cały świat. A szczególnie Jacka! Co za bezczelność! Nie miał prawa tak jej przestraszyć! Wytarła się, ubrała i już miała schodzić na dół, ale jeszcze zatrzymała się na chwilę. To, że zamierza go zwymyślać, nie znaczy że nie powinna ładnie wyglądać.

Podeszła do toaletki, wzięła oprawne w srebro szczotki (ostatni podarunek ojca) i zaczęła gwałtownie rozczesywać zmierzwiłone włosy. Powinnam je naprawdę obciąć, westchnęła, wiedząc, że nigdy tego nie zrobi. Związała włosy w koński ogon małą, różową wstążeczką. Sprawiało to, że wyglądała młodo, a dziś tak właśnie chciała wyglądać. Młoda i gniewna. Na wszelki wypadek sięgnęła jeszcze po perfumy.

Klapała kapciami, schodząc do kuchni. Oboje już tam byli. Ojciec wpatrywał się w kubek z kawą, dziewczynka z zapalem kończyła jajecznicę.

- O - powiedziała Nora. - Zbliża się sztorm. - Chwyła szklanę soku pomarańczowego i zeszła z linii ognia. Ojciec uniósł głowę. Katie gwałtownie odsunęła krzesło i opadła na nie.

- No? - przeszła go wzrokiem.

- Co no? - powtórzył ostrożnie.

Postawił kubek i próbował ją uspokoić długim i uporczywym spojrzeniem. Nie udało się. Była zbyt wściekła.

- A więc w porządku - westchnął. - Ostrzeżenie przed sztormem.

- Nie jestem żeglarką - powiedziała oschle. - Jestem po prostu dużą, głupią, prowincjonalną dziewczyną, która znalazła się wśród przestępców. Jak śmiałeś?

- Jak śmiałem co?

- Jak śmiałeś przestraszyć mnie śmiertelnie ubiegłej nocy tymi przeklętymi fajerwerkami?! Jak śmiałeś sprawić, że myślałam, że jesteś w środku strzelaniny?!

- Wśród przestępców? Jestem prawnikiem.

- To to samo!

- No cóż! - wycedził wolniutko, okrążając stół i chwytając jej rękę w chwili, gdy próbowała uderzyć go otwartą dłonią. - A więc zależy ci na mnie? Myślałem, że aby do tego doprowadzić, będę musiał czekać co najmniej miesiąc!

- O czym ty, u licha, bredzisz? Oczywiście, że mi zależy. To znaczy... To znaczy, że niepokoję się o każdego, kto znalazł się w trudnym położeniu. Skąd miałam wiedzieć, że w ciemności nie czai się wynajęty morderca? Skąd miałam...?

- Nie musisz płakać. - Palcem otarł spadającą łzę. Podniósł Katie z krzesła. Wstała chętnie, chroniąc się w jego uścisku.

- Ja... przecież nie płaczę - wyjąkała.

- Oczywiście, że nie. Na pewno coś ci wpadło w oko.

- Tak..

Ty mi wpadłeś w oko, pomyślała rozpaczliwie. Jakim prawem wkradasz się do mego domu, do mego życia, jakim prawem sprawiasz, że...

- Nie mam czystej chusteczki. - Jack przerwał jej rozmyślania. Jego głos był głęboki i kojący. Katie całkiem się rozkleiła. Długo płakała, a gdy wreszcie się uspokoiła, spojrzała na niego.

- Martwiłam się.

- Wiem. Czasem nie zastanawiam się nad tym, co robię.

- Jak mały chłopiec - stwierdziła z przekonaniem.

- Właśnie tak. Może nigdy nie dorosnę.

Jeśli o mnie chodzi - to nie musisz, omal nie krzyknęła. Lubiła go takiego, jakim jest. Kosmyk włosów opadł mu na czoło. Podniosła rękę i odgarnęła go. Na jego twarzy odmalował się zachwyt. Taki, że...

- Katie? Telefon do ciebie. - Nora wśliznęła się bokiem do kuchni, patrząc przeproszająco w stronę ojca. - Musiałam przecież odebrać telefon, prawda?

- Niekoniecznie - gderał.

Katie wysunęła się gwałtownie z jego ramion. Nie chciała tego robić, ale ze względu na Norę nie miała wyjścia.

- Jak to się dzieje, że zawsze, kiedy wchodzę, ty ją całujesz? - spytała Nora, gdy Katie wyszła z pokoju.

- Nie zaszedłem aż tak daleko - pozałił się. - Jak to się dzieje, że zawsze, kiedy próbuję ją pocałować, pojawiaasz się ty?

- Powinam zapukać, prawda?

- Nie, kochanie. - Pochwycił ją w ramiona i gorąco uściskał. - Nie. Jesteś najważniejszą kobietą w moim życiu.

- Ha! - powiedziała córka. Sporo się już nauczyła.

- Dlaczego próbujesz mnie ożenić z każdą kobietą, którą przyprowadzę do domu?

- Babcia wciąż powtarza, że powinienam. Ciągłe mówi: namów go.

- Ale to tylko przyjaciółki.

- Nie potrzebujesz przyjaciółki. Masz mnie.

- A więc?

- Potrzebuję matki. Babcia wciąż to powtarza. A ty nie najlepiej wybierasz. Ta mi się bardzo podoba.

- Ja... myślę, że mnie też, kochanie. Gdzież ona może być?

Odnaleźli Katie w salonie, w fotelu przy telefonie, patrzącą niewidzącymi oczyma przez okno.

- Katie? - Jack przeszedł cicho przez pokój. Jak na tak dużego mężczyznę, poruszał się niczym kot.

- Katie?

Potrząsnęła głową, wyglądając tak, jakby od wyjścia z kuchni przemierzyła tysiące mil. Oczy znowu miała pełne łez.

- Przepraszam... Mówiłeś coś?

- O co chodzi? - Położył jej dłonie na ramionach. Nie chciała z nim rozmawiać. Nalegał, klękając przy niej i biorąc jej twarz w obie ręce.

- Co się stało?

- Wszystko. Nie wiem - powiedziała pośpiesznie.

- Nie mogę tego zrozumieć. Wszystko się wali. Dzwonili z biblioteki. Zawiesili mnie. Teraz nie mam pracy, nie mam pieniędzy, a czasu zostało niewiele. Nie... nic nie rozumiem.

- Czasu na co?

- Ja... nie chcę o tym mówić. Dlaczego to wszystko mi się przytrafia? Dlaczego ci ludzie przyjechali ubiegłej nocy? Dlaczego zostałam zatrzymana? Dlaczego nie mogę nawet pracować w bibliotece miejskiej, a to jedyna praca, do której mam kwalifikacje? Co zrobię, kiedy sprzedam posiadłość?

- Nigdy nie mówiłaś o sprzedaży posiadłości - powiedział poważnie. Przyciągnął jej głowę i ucałował zapłakane oczy.

- Dlaczego, Jack? Powiedz mi, dlaczego?

- Chodź do mnie - westchnął i, nie czekając na jej zgodę, podniósł ją z fotela, przenosząc na kanapę. Usiadła w rogu, a gdy przysiadł obok, oparła się o niego. Jej głowa opadła mu na ramię, jakby tam zawsze było jej miejsce.

- Noro! - zawołał.

- Wiem - powiedziała dziewczynka zza drzwi. - „Przejdź się, Noro. Nie podsłuchuj, Noro”. No cóż, Nora wie, kiedy nie jest mile widziana.

- I dzięki Bogu - szepnął Jack do ucha Katie.

- A teraz powiedz mi, malutka, musisz sprzedać wszystko?

- Tak - pociągnęła nosem. - Ojciec... był hazardzistą. Zostawił mi wszystko, co miał, ale nie było tego zbyt dużo. Potem badali autentyczność testamentu. Szczerze mówiąc nie bardzo się na tym znam. Słyszałeś o czymś takim? Wiesz o co chodzi?

- Wiem.

- Pod koniec miesiąca muszą rozliczyć posiadłość.

- Kto?

- Prawnik ojca, pan Bledsoe. Spółka Bledsoe i Gerney.

- Gerney? To znajome nazwisko. Czy to ten prokurator?

- Wiesz... nie pomyślałam o tym. To taki mały rejon. Prokurator pracuje tu na pół etatu.

- Bledsoe i Gerney? Chyba nie mają dużo pracy w Stanfield?

- Przypuszczam, że nie. Jeżdżą do Winchester, Front Royal, Staunton... Prowadzą sprawy o nieruchomości... Co się stało?

Jack poruszył się gwałtownie i zacisnął usta. Za chwilę uspokoił się.

- Wszystko w porządku - powiedział łagodnie. - To tylko kurcz w nodze.

Spojrzała podejrzliwie. Ludzie, gdy ich chwyta kurcz, na ogół masują nogę albo podskakują. Nie zachowują się tak jak on.

- Mów dalej, proszę. Mówiłaś, że rozliczają posiadłość...

- Pan Bledsoe powiedział, że długi przekroczą aktywa, więc...

- Więc tak to widzisz? Musisz sprzedać posiadłość?

- No cóż, co innego można zrobić? - Usiadła prosto i spojrzała mu w twarz. Chyba znów zmagął się z jakimś problemem, bo zacisnął usta i myślał o czymś intensywnie.

- Widzę - powiedział wreszcie stanowczo, uśmiechając się do niej - że mam w tych stronach do załatwienia znacznie więcej spraw, niż przypuszczałem. Co powiesz, gdy ci złożę pewną propozycję? Potrzebuję dla Nory i dla siebie jakiegoś mieszkania i kogoś, kto by jej pilnował, gdy

będę zajęty. Przypuśćmy, panno Lovewell, że wynajęłbym ciebie i twój dom na najbliższe parę tygodni? Czy to by ci odpowiadało?

- Ja... z największą radością pomogę - odpowiedziała, wycierając palcem oczy. - Ale nie mogę brać za to pieniędzy. To byłaby przyjacielska przysługa.

- Bzdura - zaśmiał się cicho. - Przyjaźń nie napelni lodówki. Poza tym będę miał pod ręką własną bibliotekarkę. A to drogo kosztuje.

Wymienił kwotę, od której zakreśliło się jej w głowie, a potem usiadł i czekał na odpowiedź. Zawahała się, ale po chwili uległa.

- Myślę, że mogłabym nieco odstąpić od swoich zasad... Ale to za dużo pieniędzy!

- Daj spokój - roześmiał się. - Ja na pewno nie przepłacę. A teraz może zajmiesz się czymś, a ja wrócę do interesów?

Wstał i pomógł jej podnieść się z kanapy.

- Za każdym razem, gdy rozmawiam z tobą, moje kłopoty wydają mi się mniej ważne - westchnęła.

Może mnie teraz pocałuje, pomyślała. Byłoby to wspaniałe zakończenie tej strasznej historii! Ale on myślał o czymś innym.

- Co będzie z praniem? - spytał.

To zbiło ją całkiem z tropu.

- Z praniem?

- Tak. Widzę, że mam zbyt mało chusteczek, aby mieszkać w tym domu. Idź już. Muszę zadzwonić. Wszyscy prawnicy przychodzą na świat ze słuchawką telefoniczną przytkniętą do ucha.

Gdy wychodziła, poklepał ją żartobliwie po siedzeniu. Jak tylko Katie znikła w kuchni, do pokoju wsunęła głowę Nora.

- Wszystko w porządku? - zapytała niespokojnie.

- W jak najlepszym - zameldował. Pogwizdując pod nosem wykręcił numer międzymiastowy.

- Do kogo dzwonisz?

- Do wujka Wani. Dzieci powinno się widzieć, nie słyszeć. Dlaczego nie porozmawiasz z naszą gospodynią?

- Do wujka Wani? Dlaczego potrzebujemy detektywa?

- Ja wiem, a ty musisz się dowiedzieć sama - zaśmiał się. Popatrzył przez chwilę z czułością na córkę, lecz zaraz gdy uzyskał połączenie, skinął dłonią, żeby wyszła. Nora pokazała język.

- Nie myśl, że się nie dowiem - powiedziała stanowczo i powędrowała do kuchni.

Katie stała przy kuchence, szykując sobie spóźnione śniadanie. Czowała się teraz znacznie lepiej. Nie sądziła wprawdzie, aby Jack mógł jej pomóc, ale już sama rozmowa z nim działała na nią kojąco. A poza tym, to tak przyjemnie móc oprzeć mu głowę na ramieniu.

- Znow śniadanie?

- Jestem duża. Muszę więc regularnie się napychać.

- Nie boisz się, że utyjesz? Moja ciocia Helen zamartwia się tym.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zjesz ze mną? - Nora przysunęła krzesło, co oznaczało przyjęcie propozycji.

- Jajka, bekon, mleko?

- Tak, proszę.

- Och, jaka jesteś grzeczna. Masz dużo cioc i wujków?

- Dziesięć tysięcy. No, może trochę mniej. Mamy mnóstwo krewnych. To wszystko rodzina tatusia. Znasz mego wujka Wanie?

- Nie, na pewno nie. Tost też? Chciałam zrobić biszkopty, ale zasnęłam.

- Musisz być bardzo mądra. Masz dzieci?

- Nie, nie jestem mężatką.

- Ale jesteś bardzo mądra i piękna. Mogłabyś być mężatką, gdybyś chciała.

- No cóż, dziękuję ci! To miło, że tak uważasz.

- Nie chcesz?

- Och, myślę, że chcę - zamyśliła się Katie.

- Większość dziewcząt myśli o małżeństwie. Ja już prawie byłam przy ołtarzu, ale nie wyszło.

- Ale wciąż chcesz?

- Dlaczego tak nalegasz, Noro? Tak, myślę, że chcę, ale dziewczyna musi być o to poproszona. Nie mogę po prostu wybrać przystojnego mężczyzny, złapać go i zaciągnąć do ołtarza.

- Dałabyś radę, gdybyś wybrała jakiegoś niedużego - zachichotała Nora. - Bardzo dobre mleko.

Jaka szybka zmiana tematu. Nieodrodna córka swego ojca, zaśmiała się Katie do siebie.

- Noro, dlaczego przyjechaliście tutaj? Dziewczynka popatrzyła na nią niewinnie.

- Mieliśmy jechać do Staunton na wakacje...

- Wakacje? Czy o tej porze roku szkoły są zamknięte?

- No cóż... - Uśmiech dziecka znikł. - Ja chodzę... poszłam do prywatnej szkoły i tam... no, ktoś zaproponował, żebym wyjechała na wakacje...

Katie nie mogła pohamować uśmiechu na widok Nory. Choć bardzo się starała, z trudem przychodziło jej zachowanie dla siebie własnych tajemnic.

- Kto zasugerował coś takiego?

- Myślę, że siostra Mary, przełożona.

- Aha. A co się stało potem?

- Potem babcia krzyczała na mnie po chorwacku, a tatuś krzyczał na nią, wpakował rzeczy do samochodu i wyruszyliśmy do Staunton.

- Ale dlaczego zatrzymaliście się w Stanfield?

- Nie uwierzysz. Była późna noc, było ciemno i poszła nam opona.

Dokładnie przed motelem Highway.

- To znaczy że twój tatuś wybrał to miejsce z powodu opony?

- Tak. Czy jutro zrobisz biszkopty?

- A jeśli tak, to czy ty pozmywasz? - odpowiedziała Katie.

- Co tu warto zobaczyć, Katie? - Głos Jacka przerwał ich rozmowę.

Ojciec stanął za córką i zwichrzył jej włosy. - Załatwiłem swoje sprawy i myślę, że moglibyśmy pozwiedzać ciekawe miejsca.

- Oczywiście - zgodziła się. - W promieniu osiemdziesięciu kilometrów jest mnóstwo historycznych miejsc. Dolina była jednym z największych pól bitewnych podczas wojny secesyjnej.

- Taak. Pole walki - jęknęła Nora. - Same pomniki, tak?

- Nie - Katie wycofała się w porę. - Możemy pojechać do grot.

- Do grot? To już lepiej - przyklasnęli oboje.

Wycieczka się udała. Groty były rzeczywiście bardzo piękne. Pod ziemią było jednak ciemno i zimno, dlatego też Jack, Katie i Nora z ulgą wyszli z powrotem na słońce i pojechali do domu.

Katie zdążyła się już przyzwyczaić, że Jack chce wszystko naprawiać i usprawniać.

- Ta rynna jest uszkodzona - informował ją kręcąc się po domu i dokonując oględzin znajdujących się w nim sprzętów. - I nie myśl, że zapomnę o tym przedpotopowym zegarze. Wybija dwie godziny za dużo.

- Zostaw mój zegar w spokoju. Chodził tak, odkąd pamięcią sięgnę. Nie wiedziałabym, która godzina, gdybyś go naprawił.

- A tylne drzwi są spalone - doniosła Nora.

- Wspaniale - uśmiechnął się Jack. A potem znikł Godzinę później, gdy dziewczęta przygotowywały obiad, walił wciąż z zapalem w tylne drzwi.

- Widzisz? - skomentowała Nora. - On po prostu strasznie lubi naprawiać. Jeśli zostaniemy tu dłużej, twój dom zostanie gruntownie wyremontowany.

Około czwartej zadzwonił dzwonek u frontowych drzwi. Nora pobiegła otworzyć i wróciła w mgnieniu oka.

- Powiedział, że nazywa się pułkownik Fessenden - zameldowała. - On nie ma mundura...

- Munduru - poprawiła Katie.

- Nie ma munduru, więc zostawiłam go w pokoju przy wejściu.

- Och, dziecko - westchnęła Katie. - To bardzo ważna osoba, a ja wyglądam okropnie!

- To nie jest prawdziwy pułkownik. W Waszyngtonie widziałam mnóstwo pułkowników. A ty wyglądasz bardzo ładnie. Idź z nim porozmawiać. Ja dokończę obierać ziemniaki.

- Dobrze - powiedziała Katie, ściągając fartuch i wieszając go na haczyku na drzwiach. - Ale jak to się stało, że tyle umiesz, kochanie?

- Myślę, że nie znasz mojej babci... - odparła dziewczynka.

- Nie, ale pamiętam moją. Pewnie była taka sama?

- Pewnie tak - odpowiedziała Nora. - Zrób to, zrób tamto. Małe dziewczynki powinny się widzieć, nie słyszeć, i tak dalej... Katie, lepiej się pośpiesz. Pułkownikowi nie spodoba się czekanie.

- A, Katie! - Pułkownik myszkował po prawie pustym pokoju, dotykając zbiorów matki na półce obok kominka. Był to nieduży, łysawy mężczyzna o sumiastych wąsach.

- Pamiętam, że twoja matka miała w tym pokoju dużo mebli.

- No cóż, czasy się zmieniły - odpowiedziała Katie.

- Proszę usiąść, panie pułkowniku. Może się pan napije herbaty?

- Wolałbym brandy - odpowiedział. Popatrzył na zakurzoną kanapę i postanowił nie siadać. Katie podeszła do kredensu i przyniosła mu drinka. Pułkownik Fessenden sprowadził się tu z rodziną kilka lat temu. Nie było jasne, skąd czerpie dochody. Jego żona natomiast usilnie starała się zostać gwiazdą miejscowego towarzystwa.

- Przykro mi, że nie spotkaliśmy się na przyjęciu - cedził słowa. - Zniknęłaś tak nagle.

- Pańskie psy próbowały mnie zjeść - powiedziała. - Miałam wrażenie, że nie jestem mile widziana. Czy ma pan jakąś sprawę, pułkowniku? - Nie zasłużył na ten tytuł i nie znosiła, kiedy musiała zwracać się do niego w ten sposób.

- Właściwie nie. - Fessenden miał zadziwiająco głęboki głos, jak na tak niewielkiego mężczyznę.

- Przejeżdżając przypomniałem sobie, że mam tu do spełnienia niewielki obowiązek.

- Obowiązek? - Zdziwiła się. Przed śmiercią ojca pułkownik okazywał jej szacunek. Potem już nie. Jakie mógł mieć obowiązki względem niej?

- Tak. Obowiązek. Rozumiem, że jesteś zmuszona sprzedać posiadłość, Katie. To straszne, ale od czasu do czasu zdarza się to nam wszystkim.

- Rzeczywiście - odpowiedziała ze smutkiem.

- Chciałbym więc, abyś wiedziała, że będę szczęśliwy mogąc ją od ciebie kupić, moja droga. Po prostu uwolnić cię od tego ciężaru. - Sięgnął do kieszeni po wizytówkę, na odwrocie której wypisał kilka liczb.

- Mniej więcej za taką cenę, gdybyś była zainteresowana.

Katie spojrzała szybko. Sam dom wart był tyle, ile pułkownik oferował za dom i ziemię razem wzięte. Udało się jej zachować kamienną twarz.

- Rozważę to - odpowiedziała pułkownikowi. - Pan rozumie, że muszę się skontaktować ze swoimi doradcami. Niewiele wiem o cenach ziemi.

- Z doradcami? - Pułkownik nastawił uszy. - Ty masz doradców?

- Och, tak. Dam panu znać, pułkowniku. I dziękuję za propozycję. - Szła w kierunku frontowych drzwi i jej gościowi nie pozostawało nic innego, jak podążyć za nią. Przy drzwiach się odwrócił.

- Nie zastanawiaj się długo - powiedział. - Ceny nieruchomości szybko się zmieniają, a byłoby okropne, gdyby twoją posiadłość wystawiono na licytację.

- Rozumiem - powiedziała. - I jeszcze raz dziękuję. Mały człowieczek zszedł sztywno po schodach i skierował się do swojego cadillaka, zostawiając Katie w drzwiach. Dlaczego on chce kupić moją ziemię, zastanawiała się, gdy Fessenden wsiadał do samochodu. Przecież nie prowadzi plantacji. Ma wystarczająco dużo ziemi na swój... dwór. Dlaczego uważa, że ta cena jest do przyjęcia? Skąd wiedział, że muszę sprzedać ziemię? Nie chciała być nadmiernie podejrzliwa, lecz instynktownie wątpiła w szczerą intencję „pułkownika”.

Tego wieczora byli zmęczeni. Nora bez protestów poszła wcześniej spać. Słuchając bajki o czterech niedźwiadkach, dziewczynka usnęła z uśmiechem na buzi.

- Dobra bajka - szepnął Jack, który przyszedł pod koniec opowiadania. - Nie mogę doczekać się zakończenia. Kto to napisał?

- Szekspir - zachichotała, wyciągając go za rękę z pokoju.

Gdy wyszli na zewnątrz i usiedli na szczycie schodów, otoczył ją ramionami. Katie zadrżała. Sprawilo to jego mocne ramię. I ręka bawiąca się od niechcenia końcami jej włosów i uchem.

Opowiadał o Tennessee, dokąd często jeździł, ale słowa przelatowały jej przez głowę. Marzyła. Gdy przyciągnął ją do piersi, przytuliła się z ochotą, wzdychając z zadowoleniem. Pojawiły się pierwsze gwiazdy. Jego ramię powędrowało niżej. Przez chwilę spoczęło na jej talii, lecz po chwili rozpoczęło dalszą, coraz śmielszą, wędrówkę po jej ciele. Gdy spoczęło wreszcie na jej piersi, Katie poruszyła się zakłopotana.

- O co chodzi? - spytał cicho.

- Za dwa tygodnie nie będziemy już mogli tak sobie siedzieć - wyjąkała. - Pojawią się moskity i inne stworzenia.

- To nie problem - powiedział cicho.

- Ja... nie wiem, co masz na myśli - westchnęła. Roześmiał się i odwrócił ją twarzą do siebie.

- To jest problem - odpowiedział. Przyciągnął ją powoli do siebie, dając jej możliwość oporu, ale to w tym momencie na pewno nie przyszłoby jej do głowy. Kiedy przybliżył usta do jej ust, pochylając się nad nią w ciemności, słabo zaprotestowała, a potem poddała się. Było to powtórzenie ostatniego pocałunku, ale tym razem niósł on więcej ukojenia niż namiętności. Gdy odsunął się, jęknęła w proteście i znów przyciągnęła jego głowę.

Jack zaśmiał się triumfująco i pochylił nad nią. Teraz ciepło zostało zastąpione przez ogień, a ukojenie - przez namiętność. Całował ją mocno, żarliwie.

Jedną ręką gładził jej plecy, drugą zanurzył we włosach. Tym razem przerwał tylko po to, aby wstać, wziąć ją w ramiona i skierować się ku drzwiom.

Odzyskała świadomość właśnie wówczas gdy usiłował otworzyć szklane drzwi werandy.

- Co... dokąd idziemy? - chwyciła powietrze.

- Na górę - szepnął. - Jestem zbyt stary na zabawy na frontowych schodach, gdy w zasięgu ręki jest mnóstwo wygodnych łóżek.

Wyciągnęła rękę i złapała za klamkę. Zatrzymał się gwałtownie.

- O co chodzi? - spytał.

- Ja... jestem za młoda na zabawy w twoim łóżku - powiedziała. Tak bardzo pragnęła, żeby niósł ją po schodach w milczeniu. Przyjęłaby wszystko, co miało nastąpić. Ale jego słowa zabrzmiały zbyt trywialnie i

zepsuły wszystko. Było to zbyt dużo dla dziewczyny wychowanej tak jak ona. Za bardzo przypominało coś, czego spodziewałaby się raczej ze strony mężczyzny w rodzaju Petera.

- Daj spokój - parsknął.

- Zostaw mnie - powiedziała oschle. - Mogę być twoją gospodynią, ale nie jestem twoją...

- O Boże! - przerwał, stawiając ją delikatnie na podłodze werandy. - Czy nigdy tego nie robiłaś? - Nie brzmiało to szorstko. Był rozczarowany, z pewnością zasmucony, ale nie szorstki. Odwróciła się, próbując ukryć twarz.

- Co powiedziałaś na to twoja żona? - powiedziała wreszcie, z trudnością wydobywając słowa ze ściśniętego gardła. Za chwilę tego pożałowała. W ciemności nie widziała jego reakcji, lecz wyczuła, że twarz mu skamieniała. Stał chwilę obok, wreszcie obrócił się na pięcie i wszedł do domu, zostawiając ją samą.

Katie chwyciła się poręczy, zaczerpnęła powietrza i patrzyła niewidzącymi oczami w dal.

Czuła się równie samotna jak ptak, którego przejmujący głos dobiegł gdzieś z głębi ciemnego lasu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Katie dotarła do sypialni dopiero godzinę po odejściu Jacka. Zrezygnowała z kąpieli i rozebrała się, rzucając ubranie na podłogę. Nie zakładając koszuli wśliznęła się do łóżka, zwinęła w kłębek i rozplakała. Dlaczego? Dlaczego? Czy dlatego, że miał żonę? Chciała wierzyć, że to właśnie było powodem jej zachowania. Chciała, ale nie mogła.

- Nic mnie nie obchodzi twoja żona - wyszeptała w ciemności.

A więc dlaczego? Czy to rodzice sprawili, że teraz zachowuje się tak niemądrze i wszystko jej się gmatwa. A może po prostu chciała, żeby ktoś ją za wszelką cenę pokochał. Ktokolwiek... Z pewnością nie. W jej życiu było kilku chłopców. Wszyscy pozostawili po sobie niesmak. Dlaczego więc teraz, z tym mężczyzną, tak nagle... Wystarczyło dotknięcie, a już płonęła. Gdyby niósł ją chwilę dłużej, popłynęłaby w powietrzu jak balon, bez nadziei na ratunek. Kto więc był winien, on czy ona?

Ona. Wychowano ją wyjątkowo surowo. Wszyscy wokół zawsze jej powtarzali: „tak robią tylko złe dziewczęta, ale nigdy przyzwoite!” Nauka nie poszła w las. Ale dopiero dzisiejszego wieczora przekonała się, jak trudna może być rola „przyzwoitej dziewczyny”. Jestem przyzwoita, pomyślała z goryczą. No i co z tego! Dwudziestopięcioletnia dziewczica - dumna z tego swojego „nie”. Dumna... ze swej głupoty!

To była ciężka noc. Niespokojne myśli długo nie pozwalały spokojnie zasnąć. Wreszcie o świcie Katie zapadła w krótki, nerwowy sen.

Kolejne trzy dni były prawie lodowate. Oczywiście za sprawą atmosfery, jaka zapanowała po tym, co się stało wieczorem na werandzie, a nie za sprawą pogody. Ta była bowiem wspaniała.

Katie przyłapywała się na tym, że chodzi na palcach i robi wszystko, żeby uniknąć Jacka. Jednocześnie zacieśniała przyjaźń z Norą.

- Tatuś narozrabiał, prawda? - zapytała ją kiedyś dziewczynka, gdy obie pracowały w kuchni, przygotowując placek pasterski.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła. - Podsyp mąki przed wałkowaniem ciasta - próbowała zmienić temat.

- Babcia mówi, że on nie jest zbyt cierpliwy. Dlatego miewa kłopoty. Jest wybuchowy. Tak mówi babcia.

- Wolałabym nie rozmawiać o twoim ojcu.

- Czy to nie dziwne? To samo tatuś powiedział mi dziś rano o tobie. Jesteście zabawną parą.

- Jeśli masz na myśli twego ojca i mnie, my... nie jesteśmy żadną parą!

A powinniśmy być, dodała w duchu. Cóż dobrego przynosi samotne chodzenie do łóżka i wypłakiwanie się w poduszkę? A wtedy? Po prostu się przestraszyła. Gdyby ją jakoś przygotował, może by się tak nie bała. Mogłaby powiedzieć na przykład: „w którym łóżku?” albo coś w tym rodzaju. Zamiast tego podskoczyła jak oparzona i uciekła.

A przecież Bóg nie zamierzał chyba pozostawić ją dziewczicą na resztę życia!

- Hej! - Katie poczuła, jak Nora ciągnie ją za spódnicę i usłyszała wysoki głosik.

- Przepraszam, zamyśliłam się. Co powiedziałaś, Noro?

- Spytałam, czy mam włożyć teraz placek do piecyka?

- Pozwól, że zobaczę - nachyliła się nad kuchnią.

- Tak, wygląda dobrze.

- A potem powiedziałam...

Frontowe drzwi otworzyły się i rozległ się odgłos kroków.

- Powiedziałam, że jeśli chcesz dalej unikać tatusia, powinnaś zacząć teraz, ale teraz jest już za późno, bo... - Dziewczynka wyjrzała z kuchni, pisnęła z radości i pobiegła w stronę drzwi krzycząc:

- Wujek Wania!

Katie czekała z boku, aż skończą się rodzinne uściski. W holu stali wujek Wania oraz Jack Lee. Wuj był najbardziej niepozornym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Metr siedemdziesiąt wzrostu, starannie uczesane, ciemne włosy, spiczasty nos - tylko jego ciemne, inteligentne oczy przypominały Jacka.

- Wania jest moim wujkiem - wyjaśnił Jack.

- Bratem mojej matki.

Gość zaprezentował wytworne, staromodne maniery, pochylając głowę, całując dłoń Katie i uśmiechając się do niej.

Przyjęła go serdecznie, co nie było trudne. Wszystko go cieszyło. Był gotów rozmawiać na każdy temat. Dzięki niemu atmosfera w domu oczyściła się i wszyscy znów byli przyjaciółmi.

- Ale wciąż nie wiem, czym pan się zajmuje - stwierdziła, gdy przeszli na kawę do salonu.

- Wujek Wania jest Największym Detektywem na Świecie - ogłosiła z dumą Nora.

- Emerytowanym - dodał mężczyzna i nagle Katie zauważyła, że jego włosy są siwe, a czoło pokrywa sieć zmarszczek. Gdy powiedziała to, roześmiał się.

- Sztuka bycia dobrym detektywem polega na tym, aby wyglądać tak zwyczajnie, żeby nikt nie zwracał na ciebie uwagi. Zróbmy eksperyment: odwróć się, proszę. A teraz spróbuj mnie opisać.

Zupełnie nie była w stanie tego uczynić. Obróciła się ze śmiechem.

- Jest tak, jak powiedziałeś, Jack - stwierdził starszy mężczyzna. - Ona jest zachwycająca, gdy się uśmiecha.

Ze zdenerwowania rozlała kawę. Nora przyniosła papierowy ręcznik, wujek Wania zmienił temat, ale Katie przez dłuższy czas nie mogła przyjść do siebie.

- Nie przypuszczam, że mógłbyś coś zdziałać w tej dolinie - powiedziała po jakimś czasie. - Stanfield to małe miasto i nawet zwyczajnie wyglądający obcy będzie rozpoznany jako obcy!

- Więc spróbujemy pewnego podstępu - zaśmiał się. - Mam wspólnika. Potężny, rudowłosy Irlandczyk. Będzie chodził tu wszędzie, hałasował i rzucał się w oczy, a ja za jego plecami będę poruszał się cicho jak mysz... aż coś się wydarzy.

- Ale... Kim właściwie masz się zająć?

- Tobą - wyjaśnił starszy mężczyzna. - Właśnie tobą. A teraz muszę już iść. Wrócę po załatwieniu kilku spraw. Jeśli przypadkiem mnie spotkasz, nie okazuj, że mnie znasz. Dobranoc, piękna damo. I bądź dobra dla mego siostrzeńca. - Skłonił głowę i pocałował ją w rękę. Po jego wyjściu atmosfera znów zgęstniała.

Nora była zbyt podniecona, aby iść do łóżka o właściwej porze. Ułożenie jej do snu wymagało niemal godziny dodatkowego opowiadania bajek. Gdy wreszcie usnęła, Katie posiedziała chwilę przy jej łóżku,

próbując podjąć decyzję. Nie miało to jednak większego sensu, bo zdecydowała już wcześniej. Teraz potrzebowała tylko odwagi.

Cicho zamknęła za sobą drzwi od sypialni Nory. Wstąpiła na chwilę do swego pokoju, położyła błyszczący na usta, trochę różu na policzki i odrobinę tuszu na rzęsy.

Jack siedział na werandzie.

Zeszła cicho i przycupnęła na najwyższym stopniu schodów, zaledwie parę centymetrów od niego. Odwrócił głowę, spojrzał na nią i z powrotem zaczął wpatrywać się w ciemne zarysy gór na horyzoncie.

Katie chciała wyrzucić z siebie wszystko to, co zebrało się w jej sercu przez ostatnie dni. Nie było to łatwe, ale... Po trzech dniach lodowatego milczenia nie można przecież po prostu usiąść obok mężczyzny i jak gdyby nigdy nic powiedzieć mu, że...

Siedziała więc obok niego w absolutnej ciszy.

Po kwadransie poruszył się.

- Fascynujące... Te światła na górze... Poruszają się jak robaczki świętojańskie. Sądziłem, że szczyt góry jest opustoszały.

- Nie całkiem - powiedziała cicho. - To część Parku Narodowego. -I po chwili: - Bardzo polubiłam twego wujka.

- A on ciebie. Ale ciebie trudno nie lubić. Przy odrobinie szczęścia i dzięki sprytowi Wani znajdziemy rozwiązanie twoich kłopotów.

Znów popatrzył przed siebie. Na niebie skrzyły się gwiazdy. Powietrze wypełniał aromat kwitnących jabłoni. Jack westchnął głęboko, gwałtownie.

- Katie, przepraszam, że...

- Jack, przepraszam...

Rozpoczęli przeprosiny w tym samym momencie i razem przerwali. Spojrzał na nią. Zobaczyła w ciemności błysk jego oczu, a po chwili białe zęby odsłonięte w szerokim uśmiechu.

- Panie mają pierwszeństwo - odezwał się uprzejmie.

- Nie, ty zacznij.

- Dobrze, Katie. Chciałbym, żebyś wiedziała, że przykro mi z powodu tamtej nocy. Nie miałem prawa przypuszczać, że...

Powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Myślę, że miałeś prawo - powiedziała posepnie.

- Ja... nie chciałabym, żebyś myślał, że grałam nieprzystępną, Jack.

Po prostu tak mnie to zaskoczyło, że naprawdę straciłam głowę. Gdybym zdawała sobie sprawę z tego, co robię, nie zachowywałabym się tak...

Zachowałam się jak wariatka. Dlaczego nie miałbyś tak o mnie pomyśleć?

- Absurd! - Mocne ręce spoczęły na jej ramionach.

- Nie wolno ci nigdy mówić takich rzeczy o sobie.

- Potrójne potrząśnięcie nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do jego gniewu. - Wiem, że nie jesteś, i ty też o tym wiesz. Nie chcę tego więcej słyszeć, rozumiesz co mówię?

Nie pozostawało nic innego, jak powiedzieć „tak jest, proszę pana”.

Jack, gdy to usłyszał, znów gwałtownie nią potrząsnął.

- Nie jestem twoim wujkiem!

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbyś być moim wujkiem.

Kochankiem tak, ale nie wujkiem. Nigdy, Jacku Lee!

Była to najwyraźniej właściwa odpowiedź. Przyciągnął ją do siebie. Obróciła się i usadowiła na jego kolanach. Spojrzała mu prosto w oczy.

Serce zabiło jej gwałtownie, a w piersiach zabrakło tchu.

Jack pocałował delikatnie jej usta. Lewą ręką pogładził po policzku, później po uległym ciele, wreszcie wsunął ją w małe zagłębienie między talią a biodrem.

Katie czuła, jak napiętność rośnie w niej w szalonym tempie. Sięgnęła pod jego koszulę, kładąc rękę na twardej, gładkiej piersi. Coś w podświadomości mówiło jej „spiesz się”. Nie miała jednak pojęcia, co robić dalej i to ją zirytowało. Jęknęła płacząco. Pochylił głowę i spojrzał na nią.

- Oho! Co to było? To samo co wtedy?

Z trudem próbowała się opanować. Czekał cierpliwie.

- Nie wiem, jak o tym mówić - jęknęła. - To nie tylko o to chodzi, że... Jest przecież twoja żona!

Słowa te sprawiły, że krzyknął ze złością.

- O Boże! - Jego ręka znów dotknęła jej policzka i zagłębiła się we włosy. Czuła drżenie palców, gdy badał wgłębienie za uchem. Myślał o czymś, a jego ręce poruszały się bez celu. Wreszcie posadził ją delikatnie na schodach.

- Nie wiem, skąd czerpiesz swoje informacje - powiedział z rezerwą.

- Ja... Nora mi powiedziała.

- Widzę. Nie lubię o tym mówić. Ale powiem ci. Nie mam żony.

Sześć miesięcy po urodzeniu Nory Helen spakowała się, wyczyściła nasze konta w banku i opuściła nas. Od tej pory jej nie widzieliśmy. Dwa lata temu przeprowadziłem rozwód. To nie były dla nas dobre czasy, a ja nie sądzę, bym był idealnym mężem. Tak to wygląda. Czy teraz czujesz się lepiej?

- O, tak - znacznie. Oczywiście przykro mi z powodu twojej żony, ale...

- Jest coś jeszcze?

- Tak... Jest coś jeszcze! - Odsunęła się od niego, zaciskając pięści i wbijając paznokcie w dłonie.

- Co? - Patrzył na jej profil, a potem obrócił jej podbródek ku sobie. Jego głos był zimny. – Teraz powiesz mi, że przyzwoite dziewczęta nigdy nie robią tego z obcymi?

- Nie! - wrzasnęła, nie panując nad sobą. - Niech cię cholera! - Biła go pięściami po ramionach. Wstrzymał atak, obejmując obie jej ręce swoją silną dłonią.

- A więc co? - spytał.

Wzięła głęboki, przerywany szlochem oddech.

- To dlatego że ta przyzwoita dziewczyna nigdy tego z nikim nie robiła - wymamrotała.

- Co?!

- To, co słyszałeś.

- Boże! Kto by pomyślał...? - zadumał się. - Na drodze do Blue Ridge spotykam...

- Wiem - powiedziała cierpko. - Dwudziestopięcioletnią dziewicę. Zawsze byłam z tego dumna, a teraz stało się to dla mnie nie do zniesienia.

- Nie to chciałem powiedzieć - podjął przerwany wątek. - Zbyt nisko się cenisz. Chciałem powiedzieć, że przemierzyłem tę drogę i znalazłem uczciwość oraz staromodną rzecz zwaną cnotą. A jako typowy mieszkaniec Waszyngtonu nie wiem, co począć i z jednym, i z drugim!

- Nie traktuj tego tak poważnie - westchnęła, odsuwając się nieco. - Sprawy nie wydają się tak jednoznaczne, jak wczoraj. Wszystko mi się poplątało. Nie chciałam ci tego powiedzieć. Chciałabym, żebyś o tym zapomniał.

- O wszystkim?

- O... tak, o wszystkim.

- Nie będziesz prosić mnie, żebym uwolnił cię od tego, co jest dla ciebie „nie do zniesienia”?

- Nie.

- Czy cię obraziłem?

- Nie.

- Wróć więc tam, gdzie twoje miejsce.

- Tak - westchnęła znów i z trudnością powstrzymała się, aby nie dodać: „proszę pana”.

Znów w czułym uścisku Jacka rozkoszowała się jego bliskością, zapachem, głosem i spokojnym biciem jego serca. Tu było jej miejsce.

- Mamy mnóstwo innych problemów - wyszeptał, przysuwając usta do jej ucha. - Ale kiedy je rozwiążemy, wrócimy do tego, który jest „nie do zniesienia”.

Katie poruszyła się niespokojnie w jego ramionach, próbując nieśmiało protestować. W odpowiedzi objął ją mocniej.

- Proszę, nie mów tak - jęknęła. - Czy ja nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie? - Czekała z zapiętym tchem na odpowiedź.

- Niewiele - odpowiedział lakonicznie. - Jestem tak zwanym dominującym samcem, kochanie.

Zadrżała, słysząc tę groźbę, która była zarazem obietnicą. Ponieważ była nowoczesną i wykształconą kobietą, chciała zaprotestować. Ale jakiś wewnętrzny instynkt ją powstrzymał. Przytuliła się mocniej.

- A co będziemy robić do tego czasu?

- A do tego czasu - zaśmiał się - będziemy żyć niebezpiecznie. - Jego błędzące ręce wytłumaczyły, co miał na myśli.

Padało całą noc i mżyło rankiem. Podczas śniadania twarze ojca i córki były, łagodnie mówiąc, ponure, choć rozjaśniły się znacznie, gdy Katie postawiła na stole gorące naleśniki z jagodami i syropem klonowym. Po umieszczeniu naczyń w naprawionej zmywarce Jack uśmiechnął się szeroko do obu dziewcząt.

- Czas na naradę wojenną - zapowiedział. - Kawa w bibliotece, za dziesięć minut.

- A ja mam zniknąć, tak? - spojrzała na niego Nora.

- Absolutnie nie - zapewnił. - My troje jesteśmy drużyną. Lecz ty możesz pić kakao zamiast kawy.

- Oboje odwrócili się i spojrzeli na Katie.

- A ja mam zrobić kawę i czekać na was wiernopoddańczo? - indagowała, pozwalając sobie na odrobinę złośliwości.

- Nie - odpowiedział. - Ja zaparzę kawę.

- On robi okropną kawę - oświadczyła córka. - Babcia mi powiedziała. To by cię zabiło.

- Noro!

- No tak - upierało się dziecko. Katie przyciągnęła dziewczynkę do siebie.

- Aż tak źle? Myślę więc, że muszę ją zrobić choćby po to, aby przeżyć.

- Ale nie musisz mi nadszkakiwać - wtrącił Jack. Jak może mieć tak poważny głos, gdy jego oczy się śmieją? Przekrzywił głowę i spojrzał na nią błagalnie.

- W porządku, w porządku - chwyciła powietrze, niezdolna do powstrzymania śmiechu. - Znam się na żartach. Kawa w bibliotece za dziesięć minut.

Czekali pół godziny, zanim wtoczyła stolik na kółkach do pokoju.

- Pomyślałam, że przydałyby się tosty. I znalazłam trochę rogalików. Nora będzie nalewać.

- Ja?

- Ty - upewniła ją Katie. - Dziewczęta muszą umieć takie rzeczy, a teraz jest doskonała okazja do nauki! - Okrążyła stół i usiadła naprzeciwko Jacka.

- Czy zaniedbałem coś? - zapytał zaniepokojony, gdy córka nalewała kawę.

- Na razie nie, ale Nora szybko rośnie - powiedziała cicho Katie. - Ona potrzebuje....

- Potrzebuję matki - przerwało dziecko. - Im wcześniej, tym lepiej! Nagle zapadła głęboka cisza.

- No, potrzebuję - powtórzyła po chwili Nora.

- Zawsze mówiłeś mi, że o ważnych sprawach mam mówić głośno.

Katie pochyliła głowę, aby ukryć rumieniec. Jack Lee wyglądał, jakby się czymś dławził. Pociągnął łyk kawy i chrząknął z zakłopotaniem.

- Do rzeczy - powiedział wreszcie, gdy córka popatrzyła na niego. -
Posłuchaj, Noro, może porozmawiamy o tym kiedy indziej - zaproponował
łagodnie.

- Teraz musimy zająć się problemami Katie. Nie można robić dwóch
rzeczy naraz. Pamiętajsz? To moja dewiza.

- Nie rób dziś tego, co możesz zrobić jutro. To twoja dewiza -
gderała córka.

Dobry Boże, czy ja w jej wieku byłam tak sprytna, pomyślała Katie.
Ta dziewczynka rozumuje jak dwudziestolatka.

Jack Lee stukał w stół długopisem.

- W ciągu ubiegłego roku wiele się zmieniło w rodzinie Lovewellów,
czy tak? - zapytał, zapisując coś w dużym, żółtym notesie.

Katie pokiwała głową.

- Twój ojciec, na przykład, zaczął nałogowo uprawiać hazard.

- Nie określiłabym tego w ten sposób - wtrąciła Katie. - Zawsze grał,
ale nigdy tak, żeby...

- Tak. - Znowu coś zapisał. - Gra się gdzieś i z kimś. Gdzie i z kim?

- Nie wiem - przyznała Katie. - Po prostu wychodził. W dolinie,
zdaje się, nie ma żadnych kasyn.

Jack uderzał długopisem w stół, zaciskając wargi.

- Większość gier hazardowych to gotówka - powiedział z namysłem.

- Ale jeśli grał nieostrożnie, mógł korzystać z czeków lub kart kredytowych
albo... Nie ma tu gdzieś książeczki czekowej twojego ojca?

- W dolnej szufladzie biurka. Chcesz, żebym...

- Tak, ale nie w tej chwili - powiedział, na moment rozchmurzył
twarz i uśmiechnął się do niej. - A więc - ciągnął, już bez uśmiechu - twój

ojciec wpada w hazard. Sprawy wyglądają coraz gorzej, aż dochodzimy do dnia, w którym spotkaliśmy się u Fessendenów. Prześledźmy to jeszcze raz. Jesteś zaproszona na...

- Wynajęta - przerwała Katie. - Nie byłam tam jako gość.

- W porządku, wynajęta. - Kolejna notatka.

- I kiedy ty zbierasz siły przed występem, ktoś spuszcza wściekle psy. Jak często to się przedtem zdarzało?

- O ile wiem, nigdy. - Katie czuła wzbierające napięcie. Odruchowo skubała nitkę u spódnicy.

- Ale zdarzyło się. I to w dniu, w którym ten idiota Filmore przejechał obok samochodu należącego do najgłupszego chyba w całym okręgu zastępcy szeryfa a następnie został przez niego zatrzymany w twoim domu.

- To prawda.

- Zastępca powiedział, że wszedł, wyłamując zamek. Jak więc wszedł Filmore?

- Niestety miał klucz - szepnęła Katie. - Dałam klucz Peterowi, a on dorobił dwadzieścia pięć duplikatów. Dla każdego kumpla ze swojej paczki! Dostaję szału, gdy o tym pomyślę! Każdy z nich mógł tu wejść kiedy tylko chciał. Dlaczego nie przyszło mi wcześniej do głowy, żeby po prostu wymienić zamki? Prawdopodobnie doskonale pasują do tego twojego zastępcy szeryfa.

- Nie jest jeszcze mój - powiedział Jack - ale będzie. Zatrzymajmy się w tym momencie. I co mamy?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Katie.

Nora wierciła się niecierpliwie w fotelu i dała znak, że chce coś powiedzieć.

Ojciec kiwnął głową.

- Ktoś próbuje przestraszyć Katie - powiedziała z poważną miną.

- Przestraszyć? - Znów pokiwał głową. - Być może. Przestraszyć, ale dlaczego? Żeby uciekła?

- Nie zrobiłaby tego - zauważyło roztropnie dziecko.

- Myślę, że masz rację. Więc przestraszyć, żeby co? Sprzedała posiadłość?

- Ale... - To przypuszczenie wydawało jej się śmieszne, lecz Katie nie mogła się wysłowić. - Nie bądźcie niemądrzy - wykrztusiła wreszcie. - Przecież ja właśnie zamierzałam sprzedać tę posiadłość. To nie był sekret.

- Zamierzałaś. Ale może nie od razu - podsunął. Katie zerwała się na równe nogi.

- Co sugerujesz? Że wokół jest jakaś zmowa? Że miasto spiskuje, aby się mnie pozbyć?

- Niezupełnie miasto - powiedział. - Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Czy te psy wypuszczono wtedy przypadkowo? Czy Filmore przypadkowo przekroczył szybkość akurat przy twoim domu? Czy torba z marihuaną to tylko zbieg okoliczności? Mamy parę pytań, od których trzeba zacząć. Do kiedy masz czas, Katie?

- Trzy tygodnie - szepnęła. - Wtedy muszę mieć pieniądze na uporządkowanie spraw związanych z posiadłością.

Parę razy przemierzyła pokój.

- Cała ta sprawa to chyba bzdura. Moja rodzina mieszka tu od wieków.

- Ale nie każdy w tym mieście może to powiedzieć o sobie. Na razie wystarczy. Teraz muszę być w sądzie.

- W sądzie, tatusiu? Czy ktoś oberwie?

- Kilku ktosiów - powiedział i znów się uśmiechnął. - Katie Lovewell oddaje cios!

- Co!?

Drzenie w nogach zmusiło Katie do poszukania oparcia, a że w pobliżu był tylko Jack Lee, chwyciła się go, jakby od tego zależało całe jej życie.

- Tak, oddaje - powtórzył Jack zadowolony. - Przedszkole, w którym pracowałaś, to prywatna instytucja. Dziś po południu wytaczamy im sprawę. Chyba się nieźle przestraszą, gdy to usłyszą.

- Na jakiej podstawie? - spytała Katie.

- Przemyślę to w drodze do sądu - powiedział. - Co byś wolała? Prawa obywatelskie? Złamanie praw pracowniczych? Antyfeminizm? Oszczerstwo? Nie, tego nie możemy wykorzystać. Na tej podstawie oskarżymy szeryfa.

- Ja...

- Ty. Pocałuj mnie, złotko. Potrzebuję trochę odwagi. Występujesz również przeciwko bibliotece z powodu dyskryminacji. Z tymi bibliotekarkami zawsze są kłopoty.

Katie była tak oszołomiona, że nie próbowała uniknąć pocałunku, choć obok stała jego córka, która patrzyła na wszystko z zachwytem. Porwał ją jak cyklon, całkiem zamieszał w głowie, wreszcie puścił i popędził do drzwi.

Katie obróciła się wolno i patrzyła niewidzącymi oczyma na Norę.

- Twój ojciec - powiedziała uroczyście suchymi, drżącymi ustami - to namiętny człowiek.

- Nie jestem pewna, czy wiem, co to znaczy. - Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę. - Jeśli masz na myśli to, że jest niepoohamowany, to tak! To właśnie mówi babcia. Wiesz, kobiety, które całuje, na ogół czepiają się go kurczowo i śmieją się. Może bierzesz całą sprawę zbyt poważnie?

Myśl godna nagrody! Katie uśmiechnęła się do siebie. Przyjąć poradę od dziewięcioletniej dziewczynki, jak całować jej ojca!

A może to nie jest zły pomysł? Sama sobie przecież niezbyt dobrze radzi. Ale potem pojawiła się kolejna myśl, która miała w sobie szczyptę goryczy.

- Chciałaś przez to powiedzieć, że całuje wiele kobiet?

- Nie umiem tak dobrze liczyć - odpowiedziała Nora. - Wiesz, jestem dopiero w czwartej klasie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia rano Kathleen pojechała na rowerze do miasta. Musiała kupić mnóstwo drobiazgów, a Jack wraz z Norą gdzieś przepadli.

Gdy obładowana paczkami Katie wyszła z apteki, wpadła na Evviego Hamiltona, dozorcę psów w posiadłości Fessendenów. Grzechem byłoby nie wykorzystać takiej okazji.

- Wolny dzień, Evvie?

- Pół dnia - odpowiedział niechętnie. - Pani Fessenden nie lubi dawać wolnych dni. Nie widywałem cię ostatnio.

- Byłam zajęta - przyznała. - Napijesz się ze mną kawy?

- Jasne - zgodził się i poprowadził ją wzdłuż domu do pobliskiej kawiarni. Zajęli stolik w rogu.

- Brakuje mi twego ojca. - Evvie pociągnął łyk napoju. Miał już dobre siedemdziesiąt lat, siwe włosy, a z przodu brakowało mu jednego zęba.

- Mnie też - odpowiedziała. - Ale musimy dalej żyć, prawda? Co słychać u psów?

- Zabawne. Jesteś trzecią osobą, która mnie o to spytała w ciągu ostatnich trzech dni. - Pociągnął kolejny łyk. - Można byłoby pomyśleć, że ten wypadek z psami to coś bardzo ważnego. Zastępca szeryfa zadał mi to pytanie. No, niezupełnie tak. Powiedział mi, że zamek od furtki na pewno był wyłamany.

- Zastępca?

- Dziwne, prawda? Gdy pułkownika nie ma w pobliżu, on i pani Fessenden zachowują się jak para bandytów.

- A więc tak - powiedziała półgłosem Katie. - Zamek był wyłamany.

- No, ja tego nie powiedziałem, panno Katie. To powiedział zastępca szeryfa. Obejrzałem zamek tego dnia. Wszystko było w porządku, poza tym, że ktoś go otworzył. Na drugi dzień pani Fessenden tyle gadała o wyłamanych zamkach, że poszedłem sprawdzić. I co powiesz? Założono nowy zamek, a po starym nie było nawet śladu! Czy to nie dziwne?

- Coś w tym jest - Katie z trudnością zbierała myśli. Ktoś otworzył furtkę. Dlaczego? Kto? Katie nie mogła usiedzieć spokojnie. Pod jakimś pretekstem wyszła z kawiarni. Jeden ze starszych mężczyzn, grających w warcaby po drugiej stronie placu, pomachał do niej. Odpowiedziała na pozdrowienie i weszła na jezdnię. Nagle usłyszała ryk silnika. Ktoś dodał gazu i zaraz potem rozległ się pisk hamulców. Ledwie zdążyła obrócić głowę w tamtą stronę, gdy jadąca wprost na nią ciężarówka wpadła w poślizg. Lewy róg przedniego zderzaka uderzył Katie w biodro i rzucił na chodnik. Otoczyli ją ludzie.

- Czy jesteś ranna, Katie? - pochylał się nad nią kierowca ciężarówki, Peter Lester. Widziała go jak przez mgłę.

- Tylko moja duma - wymamrotała, gdy udało jej się usiąść.

- Wyszłaś wprost na mnie. Wszyscy to widzieli.

- Grupa młodych ludzi w tłumie zaszemrała potakująco.

- Nie widziałem, żebyś próbował się zatrzymać - sprzeciwił się

Evvie Hamilton.

- Lepiej uważaj na to, co mówisz, staruszkule - ostrzegł Lester. - Nie masz prawa rzucać oskarżeń. Wypadki się zdarzają. Czasem są ostrzeżeniem opatrności.

Tłum poruszył się i u boku Katie pojawił się Jack Lee. Katie kręciło się w głowie. Potłuczenia bolały, ale wraz z pojawieniem się Jacka wszystko wydawało się nieistotne i niegroźne. Jack sprawdzał, czy nic się jej nie stało.

- Nic poważnego - stwierdził. - Musimy cię jednak zawieźć do szpitala. Niech ktoś wezwie karetkę.

Przechyliła się ku niemu i zachichotała.

- Nie mamy karetki w Stanfield.

- W porządku, kochanie - uspokoił ją. - Przeżyłaś lekki wstrząs.

Zawiozę cię do szpitala.

- Szpitala też nie mamy. Najbliższy jest we Front Royal. I klinika doktora Franklina w Luray.

Za chwilę przybiegła Nora.

- Posiedź przy niej, a ja pójdę po samochód - powiedział dziewczynce. Nora usiadła obok i objęła ją. Katie miała wciąż zamknięte oczy, ale słyszała wszystko doskonale.

- To ty potrafiłeś moją dziewczynę, tak? - Jack Lee mówił do kogoś, a właściwie mu groził. Katie, która nienawidziła przemocy, wzdrygnęła się i zacisnęła powieki.

- To był wypadek - odpowiadał Peter Lester. Strach w jego głosie sprawił, że Katie poczuła się znacznie lepiej.

- Mojej dziewczynie nie zdarzają się wypadki - rozległ się głuchy odgłos. Tłum zamarł. Katie zdecydowała się otworzyć jedno oko. Lester siedział na środku chodnika. Coś się przytrafiło jego nieskazitelnemu nosowi. Jack Lee schylił się, postawił go na nogi, potem otrzepał niedbale i wziął za kołnierz koszuli.

- Mojej dziewczynie nigdy nie zdarzają się wypadki - powiedział niskim, ostrzegawczym głosem. - Zrozumiałeś? Nigdy.

- Zro... zrozumiałem - powiedział Peter.

- Dobrze. Lubię pojętnych uczniów. - Jack lekko go popchnął i Peter znów siedział na krawężniku, a między palcami sączyła mu się krew.

- Przyprawdzą samochód - powiedział bez troski Jack. - Wy popilnujcie tymczasem mojej dziewczyny.

- Nie wiem, dlaczego robisz wokół tego tyle szumu - gderła Katie.

Podróż do kliniki zajęła resztę dnia, a doktor Franklin powiedział tylko:

- Proszę jechać do domu, położyć się, wziąć te proszki i zadzwonić do mnie rano.

- To tylko lekkie stłuczenie, a ty kręcisz się wokół tego niczym niedźwiedź przy ulu! Dlaczego Peter Lester miałby chcieć mnie przejechać? Wszystko wydaje ci się spiskiem. Na litość boską, to był banalny wypadek. Nie patrzyłam, gdzie idę.

- Spokojnie! Lekarz również powiedział, że to mógł być wstrząs - mrucał, przemierzając salon.

Zadeptuje mój dywan, myślała, patrząc na jego stopy. Cały ten pomysł wydawał jej się śmieszny. Próbowwała chichotać, układając się na kanapie.

- To nie jest zabawne - rzucił ostro, stając przed nią z zawziętą twarzą. Pochylił się, przyklęknął i objął ją tak delikatnie, jak gdyby była figurką z chińskiej porcelany.

- Mojej dziewczynie nie przytrafiają się wypadki - mruknął jej prosto do ucha. - Niech cię. Musisz być ostrożniejsza, kobieto!

- Każdemu zdarzają się wypadki - powiedziała cicho.

Jedna z jego dużych dłoni pogładziła ją po głowie. No cóż, wypadek to też sposób zwrócenia na siebie uwagi, powiedziała sobie i znów zachichotała.

Jack starannie ułożył poduszki na kanapie. Oparła się o nie z westchnieniem ulgi. To był męczący dzień.

- Słuchaj teraz - Jack wstał.

Rozpoczął przemowę, z której nie usłyszała ani słowa. Podbródek poruszał mu się, gdy akcentował wyrazy, włosy lśniły, przesuwał się koniuszek prawego ucha, czarny, wijący się kosmyk opadał na czoło. Gestykulował - gestykulował dużo. Każdej kobiecie byłoby trudno oprzeć się jego urokowi. A czyż ja nie jestem kobietą?

Wtem w uszach zadzwoniła jej cisza. Zaskoczona wróciła do rzeczywistości.

- A więc? - Pochylił się nad nią.

- Może...

- Może! - wybuchnął. - Co to u diabła znaczy, kobieto?

- Może mógłbyś powtórzyć - westchnęła. - Wszystko po tym, jak powiedziałaś „słuchaj”.

Przez chwilę wydawało się, że wybuchnie. Katie zadrżała i skuliła się na kanapie. Ale zaraz jego zmarszczona gniewnie twarz wygładziła się, a oczy zaiskrzyły. Wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Nie słyszałaś ani słowa?

- Ja... zamyśliłam się - pochyliła głowę. - Czy dużo straciłam?

- Właściwie nie - odpowiedział. - Katie Lovewell, takiej kobiety szukałem latami!

- Cóż, ja tu byłam cały czas - powiedziała z zadumą. W tych słowach słyhać było również smutek. Żałowała, że nie szukał intensywniej i nie przybył wcześniej. Zmarnowała tyle czasu wśród nieodpowiednich mężczyzn! A on miał czelność ożenić się z inną kobietą!

Lecz gdyby tego nie zrobił, nie byłoby Nory. A ona kochała tę trzeźwo myślącą dziewczynkę niemal tak bardzo, jak jej ojca.

Nie powiedziała nic więcej. Nawet wówczas gdy pochylił się nad nią i jeszcze raz czule uściskał.

Po godzinie przybył wujek Wania. Wstrzymało to dalszy rozwój wydarzeń.

- Lepszego chorwackiego jedzenia nie znalazłbym nigdzie po tej stronie oceanu - powiedział wujek Wania, wycierając wąsy po kolacji. - Czy twoja matka cię tego nauczyła, John?

- Mnie - wtrąciła się Nora. - Babcia nauczyła mnie. Tatuś zaledwie umie ugotować wodę, a Katie jest zbyt zmęczona.

- Rozumiem - pokiwał z uśmiechem głową wujek Wania. - Słyszałem o wypadku, młoda damo - zwrócił się do Katie.

- Ładny mi wypadek, do licha! - skomentował Jack i spojrzał znacząco na Wanę.

- Może masz rację. - Wujek Wania znów pokiwał głową.

- O co wam chodzi? Na placu, w biały dzień?

- Katie z uporem kręciła głową. - Niemożliwe. I Peter Lester?

Dlaczego Peter, na miły Bóg, miałby zrobić coś takiego?

- Z prostych powodów - powiedział wolno starszy mężczyzna. - Z zemsty, dla zysku.

- Zemstę możesz wykluczyć - odparowała Katie. - Nie było powodu do zemsty. Nigdy mnie nie kochał. I nie mam nic, na czym mógłby skorzystać. Chyba nie myślicie, że ten dom...

- Dom nie... - przerwał jej Jack - ale może ziemia, na której stoi?

- Ha! - potrząsnęła głową wobec ich niewiedzy. - Nikt by jej nie wziął nawet za darmo. Sugerujecie, że jest tu ropa?

- Noro - powiedział Jack. - Może posprzątałyś ze stołu, a twój wuj i ja w tym czasie porozmawialibyśmy z Katie w salonie?

Dziewczynka obróciła się do Katie i wzruszyła ramionami.

- Widzisz? Małe dzieci i tak dalej. Domyślam się, że mam również pozmywać?

- Za chwilę przyjdę i ci pomogę - obiecał Jack.

- A teraz, panno Lovewell, chodźmy. - I zanim zdążyła złapać oddech, podniósł ją, jakby była piórkiem, i zaniósł do salonu. Gdyby nie ból w biodrze, podobałoby się jej to jeszcze bardziej. Zwłaszcza że jego ręka była ledwie dwa centymetry pod wypukłością jej piersi. Ale jak mogła powiedzieć niedawno poznanemu mężczyźnie, którego córka w dodatku na nią patrzyła, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby przesunął rękę nieco wyżej?

Gdy Jack ostrożnie umieścił ją na kanapie, a wuj Wania podał kawę, zapomniała niemal o bólu i mruzczała niczym zadowolony kot. Wówczas Jack sprawił jej zimny prysznic.

- Słyszałaś o Megalopolis na Wschodnim Wybrzeżu? - spytał niedbale.

Katie zawahała się. Nie dlatego że nie wiedziała o co chodzi, lecz że pochłonięta była zupełnie innymi sprawami.

- Masz na myśli te przewidywania, że od Bostonu aż po Waszyngton będzie się ciągnąć jedna wielka metropolia?

- Aż do Richmond - poprawił. - To już się zaczęło. Niektóre większe przedsiębiorstwa w Waszyngtonie już szukają miejsc nadających się na rozwój luksusowego budownictwa.

- Myślisz... że tutaj? W dolinie?

- Tutaj - powiedział uprzejmie. - W twojej dolinie.

- Cóż, chyba zaniemówię i zamienię się w słup soli! - mruknęła. -
Tutaj?

- Tutaj. Dokładnie tutaj, miła pani - wtrącił wujek Wania. - Ta posiadłość, ten dom, ta ziemia. Za ledwie pół godziny helikopterem z Waszyngtonu. Planowano to od miesięcy i najwidoczniej nastąpiły jakieś przecieki. Konsorcjum za miesiąc miało złożyć ofertę kupna. Ktoś się widocznie o tym dowiedział.

Jack zbliżył się do kanapy i ciepłą ręką zwichrzył włosy Katie.

- I teraz widzisz - powiedział uroczyście - dlaczego kilka osób w dolinie chce tak szybko kupić posiadłość Lovewellów.

- I dlaczego - dodał wuj Wania - te same osoby chcą cię przestraszyć i zmusić do wyniesienia się stąd.

Obaj patrzyli na nią, czekając na odpowiedź. Jack wciąż gładził ją po włosach.

- Katie?

- Nie rozumiem, naprawdę - powiedziała. - W Waszyngtonie jest grupa osób, które chcą tu rozpocząć budowę. Więc dlaczego ktoś w dolinie miałby dążyć do tego, żebym się stąd wyprowadziła?

- Bo jeśli miejscowe rekiny zdobędą prawo do tej ziemi, mogą na tych z Waszyngtonu błyskawicznie zarobić.

- Moi przyjaciele - zaczęła cicho - moja rodzina mieszkała tu od lat. Nikt nie zrobiłby czegoś podobnego dla...

- Katie, otwórz szeroko oczy. Czy ktoś chciał kupić ziemię?

- Moi prawnicy - powiedziała. - Oni... właściwie nie chcieli ziemi. Chcieli tylko pomóc mi spłacić długi ojca.

- Oczywiście. - Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do niej szeroko. Niemal jak para rekinów, pomyślała. Ale oni są w porządku. A może...

- No i pułkownik Fessenden - dodała.

- A co wiemy o naszym pocziwym pułkowniku? - spytał wuj Wania.

- Ma ładną posiadłość, ale za mało ziemi na poważne przedsięwzięcia - odparł Jack.

- A psy nie zostały wypuszczone przypadkowo - powiedziała skruszona Katie. - Ktoś dobrał się do zamka.

- Dobrał się do zamka? - Mężczyźni spojrzeli na nią, zaskoczeni.

- Evvie powiedział mi, że zamek był otwarty - zniżyła głos niemal do szeptu.

Jack mruknął coś po chorwacku i walnął pięścią w stół. Wuj Wania usiłował go uspokoić.

- Co się dzieje? - spojrzała Katie - Ja...

- Mój siostrzeniec zachowuje się jak fajerwerk. Mały problem, a on od razu eksploduje. I to jest prawnik. Aż trudno uwierzyć!

- Ja wierzę - powiedziała Katie. - Wierzę we wszystko, co on powie.

Wuj Wania uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- Szybko, Jack. Bierz ją, jedź do kościoła do Front Royal i ożeń się, zanim ona oprzytomnieje!

Jack uspokoił się wreszcie.

- To właśnie nazywa się spisek - powiedział. - Jakiś niewydarzony glina próbuje wplątać ją w sprawy narkotyków. Ktoś wypuszcza psy. Następnego dnia Katie idzie do sądu...

Zadzwoił telefon. Po chwili do pokoju weszła Nora.

- Co się dzieje? - spytał Jack. Nora wzruszyła ramionami.

- Telefonował jakiś mężczyzna - powiedziała.

- Jaki mężczyzna?

- Nie przedstawił się - odpowiedziała dziewczynka.

- Powiedział, żebym przekazała Wani, że to będzie pojutrze.

- To wszystko?

- Wszystko, czego potrzebujemy - powiedział wujek Wania. -

Musimy iść, John. Do świtu mamy załatwić mnóstwo spraw.

- Ależ nie mogę zostawić Kathleen samej! Kto wie, co się może zdarzyć?

- Kto wie, co się może nie zdarzyć? - odparował Wania. - Jest przecież Nora.

- To nie wystarczy - odpowiedział Jack. - Do stu tysięcy diabłów, dlaczego teraz? Potrzebujemy... - zatrzymał się w połowie zdania i spojrzał na wujka. Obaj pomyśleli chwilę i spojrzeli na Norę.

- O nie - powiedziała wzdychając.

- O tak - odpowiedział ojciec. Wszyscy troje przeszli do sąsiedniego pokoju, zostawiając Katie sam na sam z marzeniami.

Po godzinie mała Nora uroczyście weszła do salonu i zakaszła.
Katie ocknęła się.

- Nora? Gdzie twój ojciec?

- Obaj odjechali - zameldowała dziewczynka. Coś ją trapiło. Stała, drapiąc się czubkiem buta w nogę i od czasu do czasu pocierała piąstką oczy. - Tatuś powiedział... żeby się nie martwić. A wujek Wania nie powiedział nic.

- Czy to nie dziwne? - Katie wciąż nie mogła otrząsnąć się z marzeń.
Nora znów potarła oczy.

- To nie jest dziwne. To jest nie do zniesienia. Ale chyba wszyscy mężczyźni są tacy, prawda, Katie?

Skąd ja mam wiedzieć, jacy są wszyscy mężczyźni, pomyślała.
Zaczerpnęła powietrza.

- Chyba tak. Ale dlaczego, u diabła, mamy się martwić? I zresztą kim on niby jest, żeby nam mówić, kiedy mamy się martwić, a kiedy nie?
Będziemy się martwić, jak nam się będzie chciało.

- Wspaniale - powiedziała uszczęśliwiona Nora. - Ten mężczyzna potrzebuje kogoś, kto by mu czasem utarł nosa... Ja nie mam siły - dodała ciszej. - Ty zrobisz cuda w tej rodzinie.

Tak, z pewnością. Jeśli tylko zostanie o to poproszona i jeśli... A co z babcią, która, według Nory, rządzi wszystkim?

- Nie jestem pewna, czy ja mam siłę, Noro, choć myślę, że obie mogłybyśmy wiele zdziałać.

Noc ciągnęła się bez końca. Nora nie chciała, żeby drzwi łączące ich pokoje były zamknięte. Katie usiadła obok łóżka dziecka i kończyła bajkę

o czterech niedźwiadkach. Dziewczynka przewracała się na łóżku, aż wreszcie około dziesiątej zapadła w sen.

Katie wzięła cicho prysznic. Spojrzała przez ramię w duże lustro naprzeciwko wanny. Na całym ciele miała ciemne, olbrzymie sińce - ślady po stłuczeniach. Nie ulega wątpliwości, powiedziała sobie, że jeśli życie będzie się tak toczyć dalej, już zawsze będę czarno-niebiesko-żółta.

W łóżku przy każdym ruchu zadrapania i potłuczenia dawały o sobie znać. Nie mogła znaleźć właściwej pozycji. Gdy udawało jej się zasnąć, pojawiał się koszmar senny, w którym ścigały ją dwa wściekłe psy. Kiedy były blisko, z ciemności wyłaniał się Jack, klepał psy, mówił do nich: „w porządku, chłopcy”, a potem szczuł je na Katie. Białe zęby Jacka zmieniały się w żółte kły, jego twarz powiększała się i zbliżała, a wtedy Katie budziła się, cała drżąca i spocona.

Okolo trzeciej nad ranem miała dość. Wyśliznęła się z łóżka i zeszła na dół. Dom trzeszczał wstrząsany podmuchami wiatru. Ale choć znała to od lat, teraz podskakiwała na odgłos każdego skrzypnięcia.

Gdy skończyła grzać czekoladę, była kłębkiem nerwów. Ogrzała ręce o kubek, wzięła koc z kanapy i, utykając, dotarła do werandy, gdzie przytuliła się do słupa przy schodach i wpatrywała w mrok nocy. Owinęła się kocem. Teraz poczuła się lepiej. Zaczęła sączyć ciepły, słodki płyn i marzyła.

Jack Lee. Dziwny i skomplikowany mężczyzna. Może nie najbardziej atrakcyjny na świecie, bo zbyt władczy, ma jednak uroczą córkę. I umiejętność schlebiania. I wszystko może naprawić swoimi zręcznymi rękami. I prawie wszystko głową. I ja go bardzo kocham!

Katie uśmiechnęła się do tej myśli. Objęła rękami kolana i kołysała się chwilę. Rozbłysła poranna, samotna gwiazda.

- Ty też nie mogłaś spać? - usłyszała cichy, miły głos. Nora, bosa, w długiej białej koszuli nocnej wyglądała tak, jakby się czegoś obawiała.

Gdy usiadła obok, Katie owinęła ją kocem i przywarły do siebie.

- Kochasz mojego tatusia?

- Trudno w to uwierzyć, ale tak. Słowo honoru.

- Ja też. - Chwila ciszy. - Boję się. Coś złego dzieje się w tym mieście.

- Ale co? - Katie odsunęła się, żeby lepiej przyjrzeć się dziewczynce.

- Nie wiem. Po prostu czuję to! To nie ma sensu, prawda?

Katie wyciągnęła rękę spod koca i objęła nią Norę.

- Byłabyś fantastyczną matką, Katie Lovewell!

- Twój tatuś tak powiedział?

- Ja... podsłuchiwałam - zarumieniła się Nora.

- On powiedział wujkowi Wani, że jesteś za dobra dla takich jak on.

- Ach. - Katie znów się poruszyła. Potłuczenia dawały o sobie znać.

- Myślę, że nie powinnaś rezygnować - zaprotestowała Nora. - Warto spróbować, prawda?

- Nie rezygnuję - powiedziała Katie. - Jeszcze nawet nie zaczęłam.

Być może jestem dla niego za dobra, ale na świecie jest więcej kobiet niż mężczyzn. Dlatego zamierzam go zdobyć tak czy siak!

- Jestem po twojej stronie - westchnęła Nora i oparła się całym ciałem na ramieniu Katie.

Siedząc w milczeniu słyszały głosy ptaków. I chór żab, i szczekanie psów, i dalekie, niskie buczenie na niebie.

- Co to? - spytała sennie Nora.

- Samolot - odpowiedziała Katie. - Czasami przelatują nad doliną, ale nigdy o tej porze. Może jakiś pilot-amator zgubił drogę?

Buczenie stawało się coraz głośniejsze. Nagle niebiesko-biały helikopter zatoczył przed nimi koło i wylądował w odległości mniej więcej ośmiu metrów od schodów.

- O Boże! - chwyciła powietrze Nora. Katie próbowała coś zobaczyć przez otaczający maszynę tuman kurzu.

- O Boże! - powtórzyła Nora. Zrzuciła koc i pobiegła w dół schodów, bosa, w nocnej koszuli. Katie owinęła się ciasno kocem i marzyła, żeby być stąd jak najdalej. Boczne drzwi maszyny otworzyły się, a pomocnik pilota pomagał wysiąść pasażerowi. Po chwili stało się coś jeszcze dziwniejszego. Nora zatrzymała się w połowie drogi, uniosła rąbek koszuli i złożyła głęboki ukłon.

Starsza kobieta była ubrana w czarną, długą suknię z białymi koronkami przy kołnierzu i mankietach. Na szyi miała perły, na nogach buty do konnej jazdy, siwe włosy zaczesane starannie i upięte w kok.

Mała Nora podbiegła do niej i ucałowała wyciągniętą dłoń i nadstawiony policzek. Mały ceremoniał. Bardzo imponujące, cokolwiek by znaczyło, pomyślała Katie, wstając i zawijając się jeszcze staranniej w koc. Obie damy odwróciły się i szły dostojnie w jej kierunku.

U stóp schodów zatrzymały się. Katie, nie wiedząc co powiedzieć, wykonała coś pośredniego między ukłonem a kiwnięciem głową. Nora zaczęła chichotać. Dama trąciła ją łokciem i powiedziała z dezaprobatą:

- Lenoro!

Dziewczynka stłumiła śmiech i zapytała:

- Babciu, czy mogę przedstawić ci pannę Kathleen Lovewell?

Białe loki przytaknęły.

- Katie - ciągnęła dziewczynka - moja prababcia, Eleana Nostrova

Evanov z domu Karadjordjevic.

O Boże, pomyślała Katie, co ja teraz zrobię?

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Jak widzisz - powiedziała malutka, siwowłosa dama, popijając herbatę - nie tak trudno to zrozumieć. Ród Karadjordjeviciów władał niegdyś Królestwem Serbii. Ale dynastia nasza już dawno przestała istnieć. Poza mną. Mój dziadek, przeczuwając rewolucję, spakował wszystko i wywiózł nas do Ameryki.

Starsza dama uśmiechnęła się, widząc zdumione spojrzenie Katie.

- Dlatego tak nalegam, aby moja rodzina kultywowała dawne obyczaje. Możesz opowiedzieć swoim przyjaciołom, moja droga, o tym, że przebywasz w towarzystwie byłej księżnej. To może poprawić twoją pozycję. Gdyby Królestwo Serbii nie znikło z powierzchni ziemi, byłabym pretendentką do tronu! Zrobiło to na tobie wrażenie, prawda? - na gładkiej twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech. - Nie bądź za bardzo przejęta, moja droga. Teraz jestem po prostu babcią w rodzinie Lee. Pomyślmy, jak powinnaś się do mnie zwracać. Masz babcię?

- Nie - odpowiedziała Katie. - Ani jednej.

- A więc - powiedziała głowa rodu, prostując ramiona i przybierając majestatyczną postawę - będziesz też mówić do mnie: babciu.

- Ale ja...

Starsza dama wyciągnęła rękę.

- Nie, Kathleen. Nie dziękuj mi. Mój wnuk opowiedział mi o tobie i o swoich planach.

Dlaczego więc mnie o nich nie powiedział, westchnęła ciężko. A może właśnie w taki sposób zostaje się członkiem tego rodu? Królewskim rozporządzeniem? Jeśli ten... znów się tu pojawi, zademonstruję mu kilka

ulubionych chwytów moich indiańskich przodków. Oni z pewnością mają dłuższą historię niż Serbia!

- A... ja myślałam, że on jest Chorwatem - udało jej się wreszcie wykrztusić.

- No cóż, przyznaję ze wstydem - powiedziała pogodnie babcia - że w królewskim rodzie Serbów nie było nikogo odpowiedniego, a ja świętowałam swoje osiemnaste urodziny samotnie, byłam więc zmuszona zawrzeć małżeństwo niezgodne z moją pozycją - tak, z Chorwatem, którego jedynym majątkiem była moja głęboka i wieczna miłość. Jakże mi go brak! A mój wnuk, John, jest dobrym przykładem efektów tego związku. Mieszanie krwi poprawia rasę, prawda?

- Teraz już całkiem się zgubiłam - przyznała Katie. - Czy John jest pani... wnukiem?

- Tak, moja droga.

- A Nora...?

- Prawnuczka. Ach, rozumiem. Musisz być wyrozumiała dla staruszki. Mogę się zgodzić najwyżej na babcię! Czy uwierzyłybyś, że mam... siedemdziesiąt pięć lat?

- Trudno w to uwierzyć, babciu. Może jeszcze ciasteczek?

- Może mi to popsuć linię - powiedziała krągła osóbką. Ale przysunęła sobie talerz i wówczas Katie zobaczyła w jej oczach tę samą iskierkę, jaka pojawiała się w oczach Jacka.

- Katie, to znaczy panna Kathleen, rewelacyjnie gotuje - powiedziała Nora. - Byłoby wspaniale, gdyby w domu był ktoś, kto zna się na kuchni.

- Doskonały pomysł - odpowiedziała babcia wzdychając. - Czy wiesz, malutka, że gdy byłam w twoim wieku, mieliśmy sześć kucharek i szefa kuchni? Ale gdzież, u licha, podziewa się John?

- Niestety nie wiem. - Katie pochyliła głowę przed wszystkimwidzącym spojrzeniem głowy rodu. - W nocy... po prostu poszedł sobie. Nie powiedział nawet do widzenia. A wuj Wania z nim.

- A, Wania, drugi gałgan. I nie powiedział nawet do widzenia?

Katie spojrzała na Nore, oczekując poparcia. Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Przekazano mu telefonicznie jakąś wiadomość - powiedziała Katie. Spuściła głowę. Była bliska łez. Nie będę płakać, powiedziała sobie. Nad sobą, za nim, z żadnego powodu.

- Hm - rozważała księżna. - Wania wczoraj wieczorem był w Waszyngtonie. To właśnie on przekazał mi wiadomość.

- Jaką wiadomość? - spytała Nora.

- Powiedział, że jestem potrzebna w Wirginii, do... do pilnowania dwóch małych dziewczynek. Poleciałam więc służącym spakować bagaże i zamówić helikopter.

Helikopter zamiast powozu i czwórki koni, westchnęła Katie. Gdyby mnie nawet poprosił, to czy pasowałabym do takiej rodziny? A co powiedzieliby na moją indiańską krew?

Zadzwonił telefon.

- To do ciebie - powiedziała Nora, podając Katie słuchawkę. Wyglądała tak, jakby zabrano jej ostatni cukierek.

Katie wzięła słuchawkę.

- Dzień dobry. Panna Lovewell? Tu pułkownik Fessenden.

Pozbędę się tego telefonu. Dzwonią do mnie wyłącznie ci, z którymi nie mam ochoty rozmawiać!

- Słucham, pułkowniku - odezwała się niechętnie. Chciała jak najprędzej zakończyć tę rozmowę.

- Panno Lovewell... Katie. Dzwonię na prośbę żony. Czy jej prawnik jest w pani domu?

- Jej prawnik? Przykro mi, ale go nie znam, pułkowniku.

- Tak? Jestem pewien, że zna go pani. Moja żona... no cóż, gdyby się pojawił proszę mu powiedzieć, że licytacja odbędzie się jutro rano.

- Chętnie przekazałabym tę wiadomość, gdybym tylko wiedziała, komu - powiedziała spokojnie Katie.

- Jak to, to przecież pan Lee. Byłem pewien, że...

Cokolwiek pułkownik miał jeszcze do powiedzenia, pozostało to tajemnicą. Katie Lovewell westchnęła głęboko, upuściła słuchawkę i osunęła się na dywan w salonie.

- Kto to słyszał, żeby taka duża dziewczyna mdlała? - powiedziała Nora.

Katie otworzyła jedno oko. Leżała na dywanie z poduszką pod głową.

- Za moich czasów dziewczęta robiły to bez przerwy - stwierdziła babcia. - A Kathleen zemdląca bardzo dobrze. Z wdziękiem. Nie można po prostu zemdleć i upaść. Trzeba mieć styl.

- Nigdy w życiu nie mdlałam - wtrąciła słabo Katie. - Naprawdę, jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło.

- Słyszę cię, dziecko. Nie musisz tego powtarzać. Nigdy nie mdlejesz. Więc wstań i połóż się na kanapie. My nie miałyśmy siły, żeby cię podnieść.

Ledwie Katie opadła na kanapę, znów zadzwonił telefon.

- To znów ktoś do Katie - zameldowała Nora, przeciągając sznur do kanapy.

- Mogę wstać - powiedziała Katie. Stała niepewnie i za chwilę znów opadła na kanapę.

- Połóż się - nalegała babcia. - Oprzyj głowę wyżej na poduszce. O tak. Teraz możesz rozmawiać. Jestem pewna, że to dobra wiadomość.

Katie, niemal przekonana, sięgnęła po aparat. Słuchała, co ktoś do niej mówił, a potem oddała telefon Norze i przez okno zaczęła patrzeć na ziemię, które należały do Lovewellów blisko dwieście lat.

- Katie? - Nora delikatnie potrząsnęła ją za ramię. - Katie?!

- Kathleen? - Na twarzy babci odmalował się niepokój.

Katie uczyniła nieokreślony ruch ręką w ich kierunku.

- Dzwonili z biura szeryfa - wymamrotała dziwnym półszepceniem. - Musiałam pomylić dni. Posiadłość zostanie wystawiona na licytację jutro.

Nora jęknęła, obejmując Katie.

- Nie mogą tego zrobić - łkała. - Prawda?

- Stawiam ostatniego dinara, że nie mogą - powiedziała stanowczo babcia.

Ostatnia przedstawicielka rodu Karadjordjeviciów z sympatycznej, starszej pani przeobraziła się w lwicę, chroniącą swoje młode. Dwie rozmowy międzymiastowe sprowadziły pomoc. Około szóstej trzydzieści

przyleciał helikopter z czterema silnymi mężczyznami, każdy z nich trzymał na smyczy dobermana. Babcia szybko wydawała polecenia.

- Wiesz - powiedziała - nasza rodzina prowadzi biuro usługowe z detektywami, prawnikami i tak dalej.

- A babcia zarządza wszystkim - wtrąciła Nora.

- Więc to prawda - odparła ponuro Katie. - Wpadłam między wrony...

- Niezupełnie prawda - powiedziała babcia, patrząc uważnie na swą rękę. - Po prostu nie wszyscy członkowie rodzin królewskich uciekają ze skarbem. Mój dziadek był zbyt zajęty pewną... no cóż, kimś, gdy wszystko się zawaliło, ale udało się nam uciec ze sporą gotówką do... nie, panno Lenoro - to nie był skarbiec Serbii. On był już wówczas pusty. A więc uciekliśmy z pieniędzmi i olejem w głowie. I weź pod uwagę, że gdy nasz protoplasta car Borys Pierwszy wstąpił na tron, tak naprawdę był tylko hersztem opryszków... Posłuchaj - urwała nagle babcia.

- Nic nie słyszę - odpowiedziała Katie po chwili.

- Właśnie. Zupelna cisza. Ani psów, ani wiatru. Noro, do łóżka.

- Ależ bab...

- Lenoro! - Dziewczynka podskoczyła jak ukłuta szpilką. Stała przez chwilę, wreszcie skłoniła się i wbiegła na schody.

- Rośnie jak na drożdżach - zadumała się babcia. - Tradycyjne zasady grzeczności pomagają utrzymywać ją w ryzach. A teraz, posłuchaj, moje dziecko... Tylko dwie osoby mogą bezpiecznie przejść koło psów. Ja jestem jedną z nich. Na zewnątrz jest więc ktoś drugi, kogo psy dobrze znają.

Dama zaśmiała się cicho i wzięła Katie pod rękę.

- Ten intruz na pewno przybywa, żeby się z tobą zobaczyć. A ty z pewnością będziesz wołała widzieć się z nim bez świadków. Pomóż mi więc wejść na schody, a potem zejdź, usiądź i czekaj na niego. O, najlepiej w tym dużym, bujanym fotelu.

Katie, czując się jak gwiazda filmowa musztrowana przez despotycznego reżysera, niemal zapomniała, jak się nazywa. W końcu jednak opanowała się, podała staruszce ramię i zastosowała do jej poleceń.

Gdy babcia wreszcie wyszła, Katie skuliła się we wskazanym fotelu. Próbowwała się uspokoić, ale daremnie. Ktoś, kto znał psy tak dobrze jak babcia? Ktoś, kto chciałby się z nią zobaczyć? Ktoś, kogo chciałaby widzieć bez świadków? Jeśli to ten, o którym myślę, wołałabym nie spotykać się z nim ubrana w te stare spodnie, pomyślała.

Piętnaście minut później romantyczna panna Lovewell schodziła, utykając, ubrana w przejrzystą koszulę nocną i zarzucony na nią peniuar. „Intruz” już na nią czekał. W dodatku bezczelnie zgasił światło w salonie i bujał się w jej fotelu.

- No, proszę - mruknęła, stając w progu. - Co za tupet!

- Daj spokój, Katie - usłyszała znajomy głos. - Miałem ciężki dzień.

- Ty miałeś ciężki dzień! Posłuchaj, ty... Chorwacie, nie masz pojęcia, co znaczy „ciężki dzień”!

- O co chodzi? - Głos płynął z ciemności. - Czy tylko mi się zdaje, czy jesteś na mnie zła?

- Wołałabym, żeby to do ciebie dotarło - powiedziała z wściekłością.

- Znikasz akurat wtedy, gdy pojawiają się moi wrogowie. W dodatku bez słowa wyjaśnienia!

- To tylko się tak wydaje, Katie. Chodź tutaj.

- Za nic w świecie - rzuciła oschle. - A jeśli już tak bardzo chcesz, to podejść, ale z kuchennym nożem.

- No, Katie. - Usłyszała skrzyp fotela. Rzuciła się do drzwi.

- Nie podchodź do mnie. Ani kroku dalej! Rozwalę ci łeb, jeśli... -
Wycofała się do kuchni i chwyciła szczotkę.

- Nie mogłabyś. - Słyszała w ciemności jego elektryzujący głos. -
Wiesz przecież, że nie mogłabyś, Katie Lovewell.

- Nie oszukuj się - burknęła, ściskając z całej siły kij.

- To nie ja się oszukuję - powiedział. - Miłość zbroi i rozbraja.

Kochasz mnie, Kathleen, i wiesz o tym. Chodź tutaj.

- Nie! - powiedziała zawzięcie, lecz stopy same ją niosły. Choć tego nie chciała, jak zahipnotyzowana, powoli zbliżała się do niego.

- Daj spokój, Katie - roześmiał się krótko. - Chodź do mnie. Przecież wiesz, że tego chcesz. Nie ma sensu z tym walczyć.

- Muisz myśleć, że jestem szalona, głupia lub coś w tym rodzaju -
wymamrotała.

- Myślę, że jesteś piękna - wyszeptał. Była już blisko. Objął ją i przyciągnął. - Jesteś piękna - powtórzył, podniósł jej podbródek i zamknął usta pocałunkiem. - Piękna, czarująca, romantyczna.

Odwróciła głowę i zakryła mu wargi ręką.

- Nie mów tego, czego nie myślisz - westchnęła.

- Może i kocham cię, do licha, ale cię nie lubię! Zostaw mnie...

Ale on nie miał zamiaru jej zostawić. Łagodnie, choć stanowczo, uchwycił obie jej ręce. Zaprotestowała bezgłośnie. Otoczył ją ramieniem. Czowała jego ciepło i bliskość przez cienką tkaninę koszuli. Gdy palcami zaczął błędzić po jej plecach, a potem biodrach, ciepło zastąpił żar.

- Nie rób tego - wymamrotała. - Ja nie...

- Miłość to nie chłodna porcelana - przerwał.

- To ogień i szaleństwo. - Mówiąc to obrócił ją lekko i zaczął pieścić jej pierś. - Widzisz?

Nie widziała. Przy pierwszym dotknięciu poczuła prąd przebiegający przez jej ciało, a pierś stwardniała. Przeszedł ją dreszcz, który odczuł i on. Zaśmiał się, zachwycony, odsunął peniuar i koszulę i objął jej nagie ciało.

- Nie - zaprotestowała słabo. Kręciło się jej w głowie, a myśli zakłócała gwałtowność reakcji jej ciała. Roześmiał się znów, pochwycił ją na ręce i skierował ku kanapie. Zaklął, potknąwszy się o podnózek, i wreszcie opuścił ją delikatnie. Poczła przez moment chłód, gdy odsunął się od niej, ale za chwilę był z powrotem, cieplejszy niż przedtem. Wiedziała już, że zdarł koszulę i z niej, i z siebie. Drażnił zębami szczyt jej piersi. Jęknęła, czując na nich ostry zarost jego policzków. Zadrzała, gdy pocałował ją poniżej pępka, a potem znów sięgnął warg.

Z trudem chwyciła powietrze. Zagłębił się w jej usta, a potem oderwał się na chwilę. Był to błąd. Ta odrobina ciszy, chłodu i strachu przywróciła jej zdolność logicznego myślenia.

- Nie - powiedziała stanowczo.

- Nie mówisz tego poważnie - zamruczał, ponawiając atak. - Wiem, że nie poradziłabyś sobie sama.

To przepełniło miarę. Gwałtownie oswobodziła się i odepchnęła jego głowę. Chłodne powietrze orzeźwiło ją, dodając siły.

- Powiedziałam: nie.

Znieruchomiał w ciemnościach, a za chwilę palcem dotknął jej chłodnej twarzy i szyi. Jej drzenie ustało. Namietność zmieniła się w złość.

- Naprawdę tak myślisz? Nie mogę w to uwierzyć!
- Lepiej uwierz - burknęła. - Zejdź ze mnie, ty... przekłety

Chorwacie!

- O to chodzi - chrząknął. - Moja babka jest tutaj.
- I cała twoja zepsuta rodzina - warknęła. - Zejdź ze mnie! - Odsunął

się. Wolno, z żalem, zaskoczony, ale się odsunął.

Katie zerwała się na równe nogi i usiłowała włożyć koszulę.

- Miłość to nie wszystko? - dociekał z bezpiecznej odległości.
- To nie miłość - powiedziała oschle. - To zwykła żądza.

- Obie składają się na to samo - powiedział wzdychając. - Miłość bez pożądania to namiastka miłości. Nie potrzebujesz przyjaciela, potrzebujesz kochanka.

- Tak się składa - powiedziała zimno - że nie potrzebuję ani jednego, ani drugiego. A kiedy będę potrzebować, dam ogłoszenie w lokalnej gazecie i na końcu zaznaczę: Chorwaci wykluczeni.

- Niesamowite - powiedział. - Co ja takiego złego zrobiłem?

- Wszystko zależy od twojej definicji zła - odpowiedziała. - Chociaż podziwiam twoją babkę, myślę, że ród Karadjordjeviciów to banda piratów. Oczywiście wiesz, że szeryf jutro wystawia moją posiadłość na licytację?

- Myślałem, że pojutrze.

- Wpadłam między złodziei - powiedziała kwaśno. -

Prawdopodobnie zasługujesz na te słowa.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - mruknął. Położył ciężką rękę na jej ramieniu i potrząsnął tak mocno, że coś zakołatało jej w głowie.

- Wie pan, o czym mówię, panie Lee. Może choć raz mógłby mi pan powiedzieć prawdę. Jest pan wszak doradcą pułkownika Fessendena!

W ciemności widziała tylko jego cień, ale mogłaby przysiąc, że wymamrotał coś w rodzaju: O Boże!

- No? Czyżby ci nie starczyło czasu, aby wymyślić przekonujące kłamstwo?

- Nie kłamałbym ci, Katie.

- Przecież robisz to, odkąd się poznaliśmy! Odpowiedz na moje pytanie. Czy jesteś doradcą pułkownika Fessendena?

- No cóż... - Wyczuła jego wahanie. - Nie, nie jestem. Niezupełnie - dodał.

- A więc... - Katie olśniło. - Oczywiście, że nie - powiedziała. - Jesteś adwokatem pani Fessenden, tak?

- Tak - wymamrotał. - Jestem jej adwokatem. Ale nie jest tak, jak myślisz, Katie.

- Jestem pewna, że nie - powiedziała. - Jestem pewna, że to wszystko to twój pomysł. Zamieszkanie w moim domu, aby poznać moje słabe punkty, dążenie do tego, aby zrobić ze mnie swoją kochankę... Jak ja cię nienawidzę.

- Katie...

- Popatrz, jutro wieczorem będziesz miał wszystko, a ja nic. Mam nadzieję, że sprowadzisz tu kogoś, kto zaopiekuje się Norą, aby... - Znow olśnienie. Teraz Katie rozumiała już wszystko. - Aha! To dlatego twoja babka zjawiała się tu tak nagle. Aby zabrać stąd Norę! Powinnam to wszystko przewidzieć. Wszystko było czarno na białym, a głupia i naiwna Katie Lovewell widziała za ledwie czubek własnego nosa. W porządku,

panie Lee, teraz rozumiem wszystko. Proszę się wynosić z mojej posiadłości. Mam prawo do spędzenia ostatniej nocy w starym domostwie.

- Katie, ja...

- Wynoś się - powiedziała ze znużeniem. - Wynoś się. Teraz. Będę uważać się za szczęśliwą, jeśli w tym stuleciu już więcej cię nie zobaczę.

Katie odwróciła się, aby ukryć łzy. Gdy wytarła oczy, już go nie było. W łóżku rozpląnęła się we łzach. Kiedy się przebudziła, prześcieradła były pogniecione i wilgotne, a Nora leżała obok, trzymając ją za rękę tak, jakby obawiała się, że straci coś cennego.

Katie udało się zwlec na dół około dziesiątej. Babcia stała u stóp schodów, uśmiechając się do niej promiennie. Gdy ujrzała ponurą twarz Katie, jej uśmiech znikł.

- Wciąż cię boli noga, dziecko?

- Między innymi - powiedziała Katie pośpiesznie. Babcia wzięła ją pod rękę i pomogła dojść do kuchni. Nora smażyła naleśniki. Gdy ujrzała Katie, pochyliła bez słowa głowę.

- Dzień dobry, Noro.

- Och, więc wciąż rozmawiamy ze sobą - rozpromieniło się dziecko.

- Oczywiście, kochanie.

- Mimo że tatuś cię skrzywdził?

- Tak - powiedziała Katie i uściśnęła Norę. - Dzieci nie mogą przecież odpowiadać za błędy rodziców.

- Cóż, cieszę się, że to słyszę, bo tatuś wszystko zepsuł ubiegłej nocy.

- Och. Wygląda na to, że ktoś wtyka nos w nie swoje sprawy - skomentowała babcia. - To stąd ta oferta przygotowania śniadania?

- Nic podobnego - powiedziała Nora, ale znów pochyliła głowę.

- Gdzie byłaś, kiedy to słyszałaś? - spytała zdawkowo Katie.

- Przy schodach... Niech cię, Katie, jesteś gorsza niż matka! - Nora

zakryła usta dłonią. - Nie chciałam ci tego powiedzieć.

- Widzę, że bycie matką nie jest takie łatwe.

- Więc ty... on...

- Nie, kochanie. Nie ma już żadnego „ty i on”. Miałaś rację. Twój ojciec przekreślił wszystko ubiegłej nocy.

Katie opadła na krzesło i zakryła oczy rękami. Trudno będzie nauczyć się żyć bez Jacka i jego córki.

Cała trójka ponuro zasiadła do stołu. Gdy kończyli śniadanie, ktoś zapukał do drzwi. Wszedł jeden ze strażników z psem.

- O co chodzi? - spytała babcia.

- Zastępca szeryfa nie spodobał się mojemu psu. Dużo krzyczał o tym, do czego ma prawo, a więc pomyślałem, że może pani chciałaby z nim porozmawiać.

- Rzeczywiście - powiedziała babcia Lee.

Paine wszedł ostrożnie do kuchni. Jego lśniący, nowy mundur był zakurzony, a na czubku wypolerowanego buta widniały ślady kłów.

Zastępca szeryfa nie wyglądał na najszcześniejszego. Kiedy przesunął się chyłkiem do krzesła, zawarczał za nim pies. Zastępca podskoczył jak oparzony.

- Cóż więc? - babcia przybrała królewską postawę. Paine odsunął się o parę centymetrów.

- Mam nakaz - wymamrotał. - Licytacja ziemi i ruchomości.

- Może więc pokaże mi pan ten... nakaz?

- Nie muszę tego robić! - Na chwilę wybuchnął gniewem, ale uspokoił się, gdy pies obnażył kły.

- Nie będę pokazywał nakazu sądowego każdemu Tomowi, Dickowi i Harry'emu.

- Oczywiście, że nie. Ale co z każdą Kathleen? - wtrąciła Katie. - Skoro to ja jestem właścicielką, powinnam chyba zobaczyć nakaz?

- Pan Bledsoe powiedział mi, żebym nie pokazywał go nikomu - wymamrotał zastępca.

- Aha. Pan Bledsoe. Prawnik? - spytała Katie.

Paine kiwnął głową i skulił się, bo pies obwąchiwał mu obcas.

- Czy mógłbyś przyprowadzić drugiego psa? - zwróciła się babcia do strażnika. - Pan Paine nie wydaje się zbyt chętny do współpracy.

To wystarczyło, Paine zaczął pospiesznie tłumaczyć.

- Pan Bledsoe chciał, żebym przed licytacją najlepsze rzeczy odłożył dla niego.

- A kiedy to ma być? - Księżna Serbii przeobraziła się w miłą babunię. Zastępca zaczerpnął powietrza, jakby oddychanie nie było ostatnio czymś zwyczajnym w jego życiu.

- Mają przyjść dzisiaj, tuż po pierwszej - zagulgotał.

- Może powinniśmy usłyszeć o tym coś więcej - powiedziała słodko babcia. - Takie licytacje muszą być ogłaszane publicznie. Powinno się zapewnić ustawowy czas na oględziny przed...

- Babciu, proszę... - Katie położyła rękę na dłoni starszej pani. - Wiem, że robisz to dla mnie i doceniam to, ale...

- Czy chcesz się poddać, Katie? - Nora spojrzała ponuro nad stołem.

- To twoja przeszłość i twoja przyszłość, a ty po prostu chcesz się poddać?

- To nie ma znaczenia - powiedziała Katie. - Walczyć o kolejny dzień czy godzinę. Będę tęskniła do mojej przeszłości, ale przyszłości nie mam żadnej. Niech się dzieje, co ma się dzieć.

Opadła na krzesło z rezygnacją. Babcia zacisnęła usta. Nagle w jej oczach zabłysła radość.

- No cóż, w takim razie, panie Paine, nie będziemy panu przeszkadzać - powiedziała. - Licytacja zaczyna się dzisiaj o pierwszej?

- Tak, proszę pani - odpowiedział Paine. - Czy teraz już mogę iść?

Strażnik prowadził trzęsącego się wciąż urzędnika do drzwi, a potem przez schody. Chwilę ciszy przerwała Nora, mówiąc:

- Nie wierzę w to, Katie. Nigdy nie myślałam, że tak łatwo się zniechęcasz.

- Zniechęcasz - poprawiła machinalnie babcia. - Zniechęcasz. - Umilkła na chwilę. - A teraz, Noro, zawołaj wszystkich naszych mężczyzn. A jak ich wezwiesz, zadzwoń do wujka Wani. - Podała dziewczynce jego adres i telefon.

Nora wyglądała na zdumioną.

- Nie wiedziałam, że jest we Front Royal.

- Jest we Front Royal, bo mu to poleciłam. A teraz powiedz mu, żeby przyszedł. Jest potrzebny tutaj.

Dziewczynka wstała od stołu i pobiegła do drzwi. Babcia chrząknęła głośno. Nora zahamowała, odwróciła się i skłoniła najszybciej, jak tylko mogła.

- Poradzi sobie. - Babcia uśmiechnęła się z zadowoleniem. - I ty też, romantyczna Katie Lovewell.

- Ja? - Katie była całkiem przybita.

- Ty - powiedziała babcia Lee. - Jesteś postawna, zgrabna i ładna. Musisz być tylko trochę bardziej sprytna. Chyba trzeba cię nauczyć, jak przy pomocy podstępu osiągać zamierzone cele. Zacznijmy od razu. Załóżmy, że mam ochotę zamordować mojego wnuka...

- Zamordować?! Nie... może pani tego zrobić!

- Ja nie - powiedziała tajemniczo, uśmiechając się niczym dobra wróżka. - Ale zostawiam to tobie... Posłuchaj... - nachyliła się do ucha Katie i zaczęła wyjaśniać jej coś, długo i dokładnie.

Po kilku zdaniach Katie zaczęła cicho chichotać.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wkrótce po lunchu przybył licytator.

- Jake Weathers - przedstawił się. - Byłem przyjacielem pani ojca, mała panienko. Chodziliśmy razem do szkoły i byliśmy najlepszymi przyjaciółmi do dnia, w którym poślubił on moją sympatię. Pani matka była czarującą damą. A teraz musi pani wszystko sprzedać?

- Niestety - powiedziała Katie. Mała panienka? Pamięta dawne dzieje! - Ja... nic z tego nie rozumiem, ale mój prawnik powiedział, że to...

- Bledsoe? To fałszywy człowiek - przerwał z naciskiem Weathers. - A to pani... babcia?

- Właśnie. - Tym razem nie głowa rodu, lecz babunia stanęła obok Katie, otaczając ją ramieniem.

- Czy to publiczna licytacja? - zapytała. - Nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli złożymy oferty - oczywiście na drobiazgi?

- Proszę bardzo - powiedział. - To publiczna licytacja, jak pani powiedziała. Ale, przyznam się, najdziwniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem. Powiadomiono mnie zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Gdyby nie to, że miejsce jest nie najlepsze, pomyślałbym... - Zatrzymał się w połowie zdania, żując drewnianą wykałaczkę.

- Pomyślałby pan...? - indagowała babcia.

- Że jest to jakaś bardzo podejrzana sprawa - zawyrokował. - Żeby licytacja się udała, potrzebny jest tłum. A było tylko małe ogłoszenie w lokalnej gazecie gdzieś za Front Royal. Daleko stąd. Ludzie, zanim złożą ofertę, lubią przyjechać wcześniej i wszystko obejrzeć. I jeszcze jedno.

Zgodnie z wykazem, który otrzymałem, pani sprzęt nie wystarcza nawet do uprawy połowy hektara.

- Tak to bywa, gdy komuś się bardzo spieszy - powiedziała babcia. - Ale może moglibyśmy porównać to, co jest w wykazie, z zawartością stodoł? Wciąż jeszcze mamy kilkoro ludzi do dyspozycji.

W tym momencie pojawił się odświętnie ubrany wujek Wania.

- O, Wania! - ucieszyła się babcia. - Panie Weathers, czy mogłabym panu przedstawić mego najstarszego syna?

Wania widocznie miał do odegrania jakąś rolę. Ubrany był w elegancki garnitur, miał kwiat w butonierce, a na łysiejącej głowie kapelusz z szerokim rondem.

- Wania? Nigdy nie słyszałem takiego imienia. A do mnie mówią Jake. Czy jesteś obcokrajowcem?

- Można tak powiedzieć - odparł wuj Wania.

- Jak na to wpadłeś?

- To łatwe. Mieszkańcy Wirginii mówią po angielsku.

- Naturalnie - zachichotała babcia. - Wszystko poza Wirginią jest cudzoziemskie.

- Można się założyć - zaśmiał się Jake - że byłeś w jednej z tych snobistycznych szkół.

Cały czas spoglądali na siebie porozumiewawczo. Wyglądało na to, że nie spotykają się po raz pierwszy.

- Trafiłeś - przyznał wuj Wania. - Ukończyłem szkołę w Balliol. Słyszałeś o niej?

- Być może - powiedział Jake. - To gdzieś na północy?

- Nie można cię zwieść - Wania zaśmiał się cicho.

- Mam propozycję. Może zamiast przeszukiwać dom, dasz mi listę, a ja każę wynieść cały sprzęt na zewnątrz? Tak będzie łatwiej.

- Mój syn - wtrąciła z dumą babcia Lee - jest bystrzejszy niż przeciętny Karadjordjević.

- Spójrzcie - zauważył Jake. - Nadchodzi „tłum”. Nie był to zbyt duży tłum. Dwa wozy patrolowe z biura szeryfa, limuzyna z panią Fessenden i prawie niewidocznym mężczyzną siedzącym z tyłu, Bledsoe i Gerney w osobnych samochodach oraz samochód przedstawiciela banku.

- Nie mam pojęcia, czemu przyjechał ten z banku - wyszeptała Katie.

- Hipotekę za dom spłaciliśmy w 1884 roku. W salonie na ścianie wciąż wisi oprawiony dokument.

- Cicho - uciął Jake. - Powinniśmy zaczynać.

W zwyczajnej rozmowie Jake mówił chrapliwym szeptem i zdawało się, że z trudem wydobywa głos. Ale gdy wdrapał się na powóz, który ochrona babci właśnie przyprowadziła, i zaczął mówić, było go słychać na milę.

Z samochodu wysiadła pani Fessenden. Katie zaledwie dojrzała wyraz niechęci na jej twarzy i zaraz cofnęła się, opierając się o powóz. Za panią Fessenden szedł Jack Lee. Poczowała złość i strach i... wielkie nieba! Miłość?!

Śledziła każdy jego ruch. Nie widziała nic oprócz niego. Do jej uszu nie dochodziły żadne dźwięki. Wszystko zmieniło się w niemy film. Ale tylko na moment.

- Myślę, że nie mogę tego zrobić - dobiegł ją głos Jake'a. - Mam wszystko w wykazie i w ten sposób zamierzam to sprzedawać.

- Nie mam ochoty czekać, aż pan sprzeda te rupiecie - nalegała pani Fessenden.

- Rupiecie? - Jake spojrzał na wykaz. – Tutaj napisano, że wszystko jest warte około siedemdziesięciu tysięcy dolarów. To najniższa cena sprzedaży. Tylko obecny właściciel może uchylić to zastrzeżenie. To znaczy panna Lovewell.

- Zrób to - Wania szeptał z podnieceniem w ucho Katie. - Uchyl zastrzeżenie.

- Uchylam najniższe ceny na wszystko! - zawołała Katie, zaskoczona swoim postępkami. Ucieszyło to babcię. Ucieszyło wujka Wanię. Wydawało się jej, że nawet Jack Lee uśmiechał się z zadowoleniem.

Co ja właściwie zrobiłam, zastanowiła się. Bez wątpienia coś głupiego!

Jake wrócił do licytacji, zaczynając od powozu.

- Dwadzieścia pięć! - krzyknął wujek Wania.

- Tak trzeba - zachęcił go Jake. - Dwadzieścia pięć setek dolarów. - Uderzył młotkiem w siedzenie powoziku. - Kto da dwadzieścia sześć?

- To nie tak! - wrzasnął Wania. - Powiedziałem dwadzieścia pięć centów.

Jake wyglądał, jakby połknął swoją wykałaczkę.

- Dwadzieścia pięć centów za ten piękny antyczny powozik? Jako okaz muzealny wart jest pięćdziesiąt dolarów. Kto da dwadzieścia sześć?

Katie wyjrzała zza powozika. Uczestnicy zebrali się w zbity tłumek.

- To koniec - szepnęła do ucha babci Lee. - Pan Bledsoe jest prezesem rady nadzorczej muzeum. Jest obowiązany do...

- Dwadzieścia pięć dolarów! - wrzasnął Bledsoe.

- To już lepiej - obwieścił Jake. - A więc panie... Bledsoe, oferuje pan dwadzieścia pięć dolarów?

Zapadła głucha cisza. Strażnicy babci stali w punktach strategicznych. Każdy z nich trzymał na smyczy dobermana. Gdy Bledsoe złożył ofertę, jeden z dobermanów podbiegł do niego i zawarczał. Po chwili podbiegł drugi, z trudem utrzymywany na smyczy przez prowadzącego. Strażnicy coś szepnęli do pana Bledsoe. Psy cicho zawarczały, jakby mówiły: złóż ofertę, a rozszarpie ci gardło. Przynajmniej tak zrozumiał to Bledsoe.

- Nie - zabeczał. - Ja nie składam oferty, chrząknąłem tylko.

- Cóż, wobec tego - zakończył ponuro Jake - złożono jedną ofertę na ten powozik, dwadzieścia pięć centów. Kto da trzydzieści? Dwadzieścia pięć po raz pierwszy, po raz drugi... sprzedano panu z wąsami.

- Młotek uderzył o siedzenie powoziku i wydawało się, że wszyscy westchnęli. Wujek Wania musnął mały wąsik i uśmiechnął się szeroko do matki. Odpowiedziała takim samym uśmiechem.

Popołudnie wlokło się. Jake Weathers przekopywał się przez niewyobrażalnie wielki stos przedmiotów. Kilka razy Wania i jego matka składali konkurencyjne oferty, podbijając cenę o cent czy dwa. Pani Fessenden gotowała się ze złości.

Jack Lee nie odezwał się ani słowem. Katie chowała się za powozikiem, wciąż wodząc za nim wzrokiem. Około trzeciej na werandzie pojawiła się Nora. Patrzyła dziesięć minut, po czym przemaszerowała do ojca, stanęła naprzeciwko niego z rękami na biodrach i z buntowniczą miną i powiedziała mu coś bardzo krótkiego. Odpowiedział jednym

słowem. Nora wzruszyła ramionami, a potem kopnęła ojca w łydkę czubkiem buta.

Jake Weathers wstrzymał licytację. Nora pomaszerowała prosto do Katie, uścisnęła ją mocno i głośno powiedziała do wujka Wani:

- Wujku, chciałabym rozwieść się z ojcem. Pomożesz mi?

W tłumie rozległ się szmer. Wujek Wania przykucnął i prowadził spokojną rozmowę z bratanicą. Katie wstrzymała oddech. Czy można się rozwieść z rodzicami? Doskonały pomysł!

- No, to już wszystkie drobiazgi - powiedział Jake. - Następna pozycja w wykazie to dom i dwie stodoły. Zabudowania sprzedamy jako całość. Kto da... dziesięć tysięcy dolarów?

- Dziesięć tysięcy dolarów! - krzyknęła pani Fessenden.

- Dziesięć tysięcy dolarów. Jest dziesięć tysięcy. Jedenaście?

Pani Fessenden wstała i potoczyła wokół wzrokiem. Wstała też babcia, dotychczas siedząca w powoziku. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Odkaszlęła, rozejrzała się i z miłym wyrazem twarzy powiedziała:

- Pięćset tysięcy dolarów. - Po czym usiadła z powrotem.

Zapanowała głęboka, martwa cisza. Pani Fessenden zachwiała się i wsparła na ramieniu osoby stojącej najbliżej. Tą osobą był Jack Lee! Mam nadzieję, że złapie go trąd albo półpasiec, pomyślała Katie ze złością.

- Ona nie ma dwudziestu centów przy duszy! - darła się pani Fessenden. - Żądam, żeby pokazała pieniądze! - wrzeszczała.

Za nią pojawił się samochód, prowadzony przez pułkownika. Pułkownik, zwykle wytworny, wygrzebał się z auta nie wyglądając ani wytwornie, ani młodo. Pospieszył do żony i szepnął jej coś do ucha. Pani

Fessenden zachwiała się. Wyraz gniewu na jej twarzy ustąpił lękowi.

Zbladła i opadła na krzesło. Podjechał następny samochód.

- No cóż, szanowna pani - zwrócił się Jake do babci. - Czy ma pani te pieniądze?

- Mam trochę drobnych - odparła babcia Lee.

- Cztery czy pięć czeków, każdy na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. - Pogrzebała w sporym, skórzanym portfelu i wyciągnęła plik papierów. - Zawsze lubię mieć przy sobie parę groszy na drobne wydatki. Czy to wystarczy?

Jake ze zdziwieniaomal nie połknął swojej wykałaczki.

- Szanowna pani, to by wystarczyło, nawet wtedy gdyby chciała pani złożyć ofertę na kupno budynku parlamentu. - Przez chwilę zbierał siły. Wreszcie zaintonował, uderzając młotkiem w powóz: - Pięćset tysięcy dolarów! Kto da sześćset?

Podjechał trzeci samochód. Wszystko naraz, pomyślała Katie. Zwabiliśmy sześciu stanowych policjantów, szeryfa we własnej osobie i dwóch czy trzech tajemniczych mężczyzn w czarnych garniturach.

Jack Lee podszedł do szeryfa, który stał obok Jake'a, i zaczął mu coś tłumaczyć. Jack mówił, szeryf kiwał głową, a Jake Weathers kręcił głową z niedowierzaniem. Dwaj prawnicy, Bledsoe i Gerney, zaczęli wycofywać się z tłumu, udając przypadkowych przechodniów, ale wówczas wpadli prosto na dwóch rośłych policjantów.

- Proszę się tak nie spieszyć - usłyszeli. - Zaraz zaczną się dziać ciekawe rzeczy.

Szeryf Baker stanął w powoziku i poprosił zebranych o uwagę.

- Jestem szeryfem okręgowym i mam przyjemność poinformować państwa, że licytacja jest nielegalna i w związku z tym unieważniam ją. Niektórzy widzowie zaczęli się wycofywać.

- Proszę się nie spieszyć - powtórzył szeryf. - Mam w kieszeni kilka nakazów aresztowania. Aresztowana pod zarzutem próby oszustwa jest pani Fessenden - ta zapłakana dama siedząca na krześle. Ci dwaj prawnicy też. Macie ich? Wspaniale. Zabierzcie wszystkich do Stanfield i zamknijcie, dopóki sędzia Pettibone nie zajmie się nimi. - Szeryf przerwał, sprawdzając kolejne nazwiska na dokumentach.

- A teraz zastępca szeryfa, pan Paine. Mam nakaz aresztowania go pod zarzutem nadużycia władzy, posiadania narkotyków i zamiaru ich sprzedaży. Proszę pana - szeryf zwrócił się do stojącego obok strażnika babci - może pan go zakuć w jego własne kajdanki. I proszę go umieścić w moim samochodzie.

- A co z pułkownikiem Fessendenem? - zapytał wujek Wania. - Bardzo nie podobają mi się ludzie, którzy stają się pułkownikami nie służąc w wojsku.

- Cóż, jeśli chodzi o mnie i FBI - zamyślił się szeryf - pułkownikowi można zarzucić tylko dwie rzeczy. Jedna, to trzymanie psów bez zezwolenia...

- A druga? - zainteresowała się babcia.

- Drugą, szanowna pani, trudno nazwać zarzutem. Zadawał się z przestępcą - to jest z panią Fessenden - ale stan Wirginia nie może go skazać za głupotę. Może pan odejść, pułkowniku!

Szeryf zaczął ostrożnie schodzić z powoziku.

- Hej, proszę poczekać! - wrzasnęła Katie. Wszyscy zastygli na miejscach. - Pozwala pan uciec najgorszemu! Jemu. - Wskazała palcem na Jacka Lee. - To mózg całej bandy!

Wszyscy przez chwilę analizowali jej oskarżenie i naraz wybuchnęli śmiechem. Szeryf zaśmiewał się tak bardzo, że opadł na krzesło, na którym siedziała przed chwilą pani Fessenden. Śmieli się wszyscy, z wyjątkiem Jacka Lee i Katie Lovewell. Jack, wyglądając, jakby miał za chwilę popełnić morderstwo, szedł z wściekłością w jej kierunku.

Katie wahała się krótką chwilę, po czym odwróciła się i nie oglądając się za siebie popędziła w stronę wzgórz za stodołą. Ból w stłuczonej nodze był bardzo dokuczliwy, ale przewyciężyła go. Chciała być teraz jak najdalej od Jacka.

- Dopadłem cię wreszcie! - zderzył się z nią, gdy wypadła zza drzew. Oboje upadli na ziemię.

- Lepiej uważaj! - wrzasnęła Katie. Usiadła i zaczęła otrzepywać sobie włosy. - Szeryf jest niedaleko. Zamkną cię na sto lat! Tu, w Wirginii. Tutejsi mieszkańcy nie pogodzą się z...

- Z czym? - przerwał z ponurą miną.

- Próbą gwałtu - zamruczała. Nie była w stanie myśleć rozsądnie. Ale po chwili, złapawszy oddech, wysiliła swą inteligencję. - Naruszenie nietykalności osobistej - dodała. - Zobacz, łokieć mi krwawi.

- Niech mnie diabli, jeśli to prawda - powiedział.

- To moja krew i mój nos. Co ty na to?

- W takim razie, uwiedzenie w celu osiągnięcia korzyści - wymamrotała. - Zostaw mnie! Puść, ty przeklęty chorwacki bę...

- O, nie. To nieprawda. - Usiadł obok i potrząsnął nią niezbyt delikatnie. - Moi rodzice pobrali się dwa lata przed moim urodzeniem. Czy chcesz znów spróbować?

- Zadawanie się z wrogiem - nie rezygnowała ze stawiania mu kolejnych zarzutów. - Oszukańczy spisek.

- Wytarła pięściami łzy z oczu. - Czy myślisz, że nie wiem, co zamierzałeś zrobić? Myślisz, że uwierzyłam w to, co powiedział pułkownik? Nie urodziłam się wczoraj. Byłeś doradcą pani Fessenden na długo przedtem, zanim zostałeś moim!

Wzięła głęboki oddech. O, Boże, przecież go kochała! Próbowała zdusić w sobie to uczucie, ale na próżno.

Kochała go jak szalona. Najtrudniej oskarżać kogoś, kogo się kocha. Zebrała jednak resztki sił.

- Zwrócę się do stowarzyszenia adwokatów okręgu. Założę się, że ci zabronią...

- Że pozbawią mnie uprawnień adwokackich?

- Znów ten prawniczy język... - Głos jej się nagle załamał, a w oczach pojawiły łzy.

- Nie płacz, na Boga. Dość tego. Myślę, że byłabyś zachwycona, widząc mnie pozbawionego uprawnień, wyrzuconego z pracy, z córką skazaną na opiekę społeczną.

- O Boże! - jęknęła i łzy polały się strumieniem.

- Nie chciałybyś widzieć mnie w nędzy?

- Ty mnie nic nie obchodzisz - wykrztusiła. - Ale babcia i Nora to zupełnie co innego! Ciebie mogliby zamknąć na lata i nie uroniłabym ani jednej łzy. Co ty wyprawiasz?

- Ustosunkowuję się do pierwszego oskarżenia - szepnął. Siedzieli teraz wyprostowani, a on przyciągał ją do siebie.

Zbliżała się szósta i w dolinie robiło się chłodno, ale jego objęcia chroniły przed zimnem. Całym ciężarem oparła się na nim. Odgarnął jej włosy. Popatrzyła na niego wzrokiem bezbronnej ofiary. Tak jak patrzy królik zahipnotyzowany przez jastrzębia.

- Co...? - szepnęła.

- Uwiedzenie w celu osiągnięcia korzyści - powiedział cicho.

Otworzyła usta, próbując protestować, ale on zamknął je swymi ustami. To był namiętny pocałunek. Katie opierała się przez ułamek sekundy. Wreszcie uległa, upajając się szczęściem, które przeppełniło jej serce. Jedną ręką gładził ją po włosach, drugą trzymał w mocnym uścisku. Rozdzierało ją pragnienie, pragnienie zbliżenia, dotykania go. Usiadła mu na kolanach.

- O Jack - wyszeptała odrywając na chwilę wargi od jego ust.

Wcale jej teraz nie trzymał. To ona otoczyła rękami jego szyję, to jej ciało przylgnęło do niego, jej usta całowały go zachłannie.

- O, Jack...

Jack otoczył jej talię, szukając skraju bluzki. Wreszcie wsunął pod nią rękę, trzymał przez chwilę na biodrze, a potem zaczął bładzić po jej nagim ciele, kierując się ku wzniesionej, nie skrepowanej piersi.

I nagle wszystko się skończyło. Jack odsuwał ją lekko od siebie. Katie krzyknęła niezadowolona. Nie chciała rezygnować z tych szalonych, niezwykłych doznań, jakich przed chwilą zaznała.

- Och, nie - błagała.

- Och, tak. Powiedziałaś przecież: uwiedzenie w celu osiągnięcia korzyści.

- Nie. - Głębokie westchnienie wstrząsnęło całym jej ciałem. Odczuł je bardziej niż ona. - Nie - powtórzyła.

Nastąpiła chwila przerwy, podczas której próbowała się opanować.

Dlaczego przytrafiło się to właśnie jej? Przez całe lata była spokojną dziewczyną, a teraz... Kochała go. Nie przeszkadzało jej nawet to, że jest być może najgroźniejszym bandytą na Wschodnim Wybrzeżu!

- Dobry początek - odezwał się Jack, pomagając jej wstać. - A teraz wrócimy do domu i zobaczymy, co da się z tym wszystkim zrobić.

Katie popatrzyła z żalem na pogniecioną, miękką trawę, doskonałe gniazdko, które zbyt krótko dzielili.

- Może lepiej poczekamy tu, aż szeryf wyjedzie - zaproponowała. - Nie chciałabym, żeby cię aresztowano, zanim zrobisz ten cud... to znaczy wyjaśnisz wszystko! Może moglibyśmy przeczekać tu do rana?

Łąki słyną z takich... Chciałabym wiedzieć, jak to nazwać...

- O, nie - rozwiął jej marzenia. - Wracamy do domu. Babcia nie aprobuje takich harców w wykonaniu niepoślubionej pary na łące.

- Jakich harców? - prowokowała.

- Takich, o których nie przestaniemy myśleć, jeżeli zaraz nie pójdziemy - powiedział, chwytając ją za rękę i kierując się do domu.

Katie Lovewell przez całą drogę pogrążona była w marzeniach.

- Powinieneś ją wziąć na ręce, tatusiu. - Nora tupnęła nogą z oburzeniem. Wszyscy siedzieli przy stole w jadalni: babcia Lee, wujek Wania, Jack, Katie i Nora. Ale gdy Katie próbowała wstać od stołu, noga jej zesztyniała i nie mogła się ruszyć.

- Widzisz, że ją boli. Nie czuła się tak źle, kiedy pognałeś za nią - nalegała Nora.

- Jakie to szczęście, że mam spostrzegawcze dziecko - powiedział Jack sarkastycznie. - Ale jeśli ją podniosę, nadwerzę sobie kręgosłup. Nie masz pojęcia, ile ona waży!

- Nie zadawaj sobie trudu - burknęła Katie.

- Wolałabym się czołgać, niż pozwolić mu się tknąć! - zwróciła się do Nory.

U szczytu stołu małeńka starsza dama ubrana w surową czerń z odrobiną białej belgijskiej koronki uderzyła dwa razy łyżeczką o szklanekę, przerywając rozmowę. Nie znoszącym sprzeciwu głosem powiedziała coś w rodzimym języku, znów przeobrażając się z babuni w dostojną księżną.

Jack spojrzał na nią lekko przerażony, Wania usunął się gdzieś w bezpieczne miejsce, a Nora zasłoniła dłonią usta, krztusząc się ze śmiechu.

Jack podszedł do stołu, obrócił krzesło Katie, podniósł ją, przeniósł do salonu i ułożył delikatnie na kanapie. Cofnął się o krok, uśmiechnął szeroko, ale po chwili odezwała się w nim chorwacka krew i uśmiech znikł.

- Cały dzień mnie obrażała - powiedział.

- Ja też bym tak zrobiła - odparła surowo babcia.

- No, dalej!

Te słowa zaświszczały w powietrzu jak bat. Jack wzdrygnął się, podszedł do kanapy i ujął rękę Katie.

- Moja babcia - oświadczył - chce, żebym ci powiedział, jak mi przykro, że byłem takim głupim... - zatrzymał się i spojrzał na głowę rodu. Kiwnęła głową w nie znoszącym sprzeciwu geście.

Znów się odwrócił do Katie. Z trudem próbowała odsunąć się od niego, ale wyglądał tak... romantycznie, że przestała się bać.

- Na czym skończyłem? - spytał.

- Przepraszam, że byłem tak głupim... - odpowiedziała Katie łagodnie.

- Tak. Że byłem tak głupim osłem. - Jeszcze raz ujął jej rękę, pochylił się i ucałował ją. Zapadła cisza, a potem rozległ się szmer aprobaty. Wówczas przybliżył się jeszcze bardziej i szepnął:

- Właściwie nie użyła słowa „osioł”, ale to, którego użyła, było nieprzetłumaczalne.

- Uderzamy w ton pokory - szeptała. - A zaraz pewnie powiesz mi, że twoja babcia rządzi wszystkimi, a ty jesteś uciskany i tłamszonym mężczyzną!

- Sam nie wyraziłbym tego lepiej - powiedział ze zwykłą zarozumiałością. - A teraz, wujku, może opowiedziałbyś łaskawie tej młodej damie o moich wyczynach?

- Głupio byłoby zostać złapanym na przechwałkach? No cóż, dobrze. A więc, panno Lovewell... hm... czy zamierza pani poślubić tego wielkiego niezdarę?

- Ja... nie zostałam o to poproszona - odparowała Katie.

- No dobrze, Katie - powiedział wujek Wania, śmiejąc się cicho. - Prowadzimy rodzinną firmę. Moja matka jest mistrzynią w sprawach finansów, ja prowadzę dochodzenia, a mój siostrzeniec jest mózgiem wszystkiego. Odkrycie tego, o co właściwie chodzi w tej sprawie, nie zajęło nam więc zbyt wiele czasu. Jediną osobą, poza samym inwestorem, oczywiście, która wiedziała o planowanych inwestycjach na twojej ziemi,

była pani Fessenden. Bledsoe i Gerney pracowali nad prawnymi aspektami sprawy. Zastępca szeryfa został przekupiony.

- Ale w jaki sposób informacja przedostała się od inwestora? - spytała Katie.

- Później - odpowiedział Wania. Potarł czubek nosa i kontynuował. - A więc pierwszym krokiem było wplątanie twego ojca w kłopoty finansowe. Zorganizowano działania hazardowe, w które twój ojciec został z premedytacją wciągnięty. Był on wtedy bardzo rozkojarzony, zapewne z powodu śmierci twojej matki. W każdym razie naciągnęli go na duże pieniądze. Peter Lester był organizatorem całej sprawy.

- Peter? - Katie kątem oka ujrzała grymas na twarzy Jacka. Chwyciła go za rękę.

- Cóż - kontynuował Wania - największym problemem było zebranie dowodów, wszystkich tych papierków wymaganych przez prawo. Gdy więc odkryliśmy, że wyznaczono termin licytacji, Jack zaoferował się działać jako wtyczka. Przybył i zaproponował swe usługi pani Fessenden, która oczywiście się zgodziła.

- Tylko babcia wiedziała, jak wszystko zorganizować - powiedziała rozradowana Nora. - Tak naprawdę wszystkie plany wychodzą stąd - wskazała na głowę rodu.

- Do licha - powiedział ponuro Jack. - To ja miałem być bohaterem, a ty wszystko popsulaś, panno Noro Lee.

- A więc działałaś za kulisami, zbierając dowody... - zamyśliła się Katie. - Czy w grę wchodziło również podejmowanie tej damy?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział Jack. - Czy czytujesz kryminały?

- Tak, przeczytałam kilka - odparła cierpko Katie, ze zdenerwowania skubiąc wystającą nitkę koca.

- I martwi mnie, że taki bohater spędza czas z taką kreaturą w pozycji horyzontalnej!

- Szczęśliwie nikomu z rodu Karadjordjeviciów nie przyszłoby nic takiego do głowy - wtrąciła babcia.

- I jeszcze jedna rzecz, która cię z pewnością ucieszy, Katie. W Wirginii hazard poza licencjonowanymi lokalami jest nielegalny. A ponieważ twój ojciec grywał w domu pani Fessenden, żadne długi powstałe z tego tytułu nie muszą być spłacane. Myślę, że przy pomocy sprytnego prawnika mogłabyś odzyskać pieniądze, tak, Jack?

- Wszystko jest możliwe - odparł Jack. - Wszystko. Od dwudziestu pięciu dolarów do dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Jak ci się to podoba?

- O Boże, to brzmi wspaniale - powiedziała Katie, podniecona. - Mogłabym naprawić i odmalować cały dom, i zagospodarować ziemię, i nie dopuścić do tego, żeby ci piraci z Waszyngtonu zmienili dolinę w... - umilkła, gdy zauważyła, że nikt prócz niej się nie uśmiecha.

Wuj Wania włożył ręce do kieszeni i zaczął gwizdać żałośnie.

- Myślę, że teraz powinniśmy zostawić wszystko w rękach mego wnuka - powiedziała głowa rodu.

- Mam tu samochód - odezwał się Wania. - Chyba teraz wrócę do Waszyngtonu. Czy mam zamówić na rano helikopter dla ciebie? - spytał babcie.

- Doskonały pomysł - zgodziła się. - A teraz proponuję, abyśmy ty i ja, Lenoro, poszły do łóżka.

- Idź do łóżka, dziecko - polecił ojciec. - No już!

Pożegnano się, wymieniono pocałunki, Wania znikł i zaraz rozległ się warkot silnika limuzyny. Nora stała przez chwilę u stóp schodów, potem wraz z babcią weszła na nie, szczebiocząc jak ptaszek.

- A więc pozostało nam już tylko jedno, ostatnie pytanie - powiedział Jack. - Czy chciałabyś zostać...

- Chwileczkę - przerwała mu Katie. - Ja też chcę cię o coś spytać. W całym tym zamieszaniu, panie Lee, krążyliśmy wokół kwestii, w jaki sposób pani Fessenden dowiedziała się o tej sprawie?

- Nie wiem - skłamał. Naciskała go. - No cóż - przyznał wreszcie - w naszym biurze zatrudniamy tylko Serbów i Chorwatów. Jeden z nich zdradził nas. Kto? Oczywiście Karadjordjević. Rodzina Karadjordjeviciów to banda nicponi, którzy szybko zdobyli tron w Serbii, a potem wżenili się w resztę słowiańskich rodów królewskich. Rzadko dożywali późnego wieku. Długowieczni okazali się tylko ci, którzy schronili się w Ameryce.

Katie spojrzała na niego w milczeniu. A więc przeżyjemy razem pięćdziesiąt lat, jeśli go wcześniej nie zamorduję, pomyślała. Patrzył na nią; zastanawiając się, co nastąpi. Wreszcie spytała:

- Kim jest właściciel przedsiębiorstwa, w którym pokładasz tak absolutną wiarę?

Jack wstał z kanapy i skierował się ku frontowym drzwiom.

- Dziś jest piękny księżyc - powiedział. - Myślę, że ta posiadłość to doskonałe miejsce na założenie rodziny.

- Niewątpliwie. Ale podaj mi to nazwisko, proszę. Kto jest tym inwestorem?

- Ja - powiedział ponuro. - Właśnie ja.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Punktualnie o dziesiątej zawarczał helikopter. Babcia Lee czekała niecierpliwie na werandzie ze spakowaną torbą i oporną wnuczką u boku.

- Właśnie zbliżamy się do interesującego momentu - sprzeciwiała się Nora. - Chciałabym tu być, kiedy nastąpi zakończenie.

- Już twój tatuś się tym zajmie - nalegała babcia.

- On wszystko popsuje - powiedziała z uporem Nora. - Nie masz pojęcia, ile panienek przyprowadzał do domu. I pewnie byłby się z którąś z nich ożenił, gdybym się nie sprzeciwiła.

- Panienek? - Babcia zmarszczyła majestatycznie brwi. - Niektóre z nich były bardzo ekscentryczne, prawda?

- Jest prawdopodobnie najmądrzejszym prawnikiem na świecie - ciągnęła Nora - ale nic nie wie o kobietach. Potrzebuje kogoś, kto by go przypilnował.

- W tym, co mówisz, coś jest - dumiała babcia.

- Ja ją lubię - nalegała Nora.

- Prawdę mówiąc, ja też.

Szare oczy mrugnęły do niebieskich. Babcia i wnuczka uśmiechnęły się do siebie.

- Słuchaj, Noro, widzę że potwornie boli cię głowa - powiedziała starsza pani. - Lot helikopterem pogorszy ten stan, prawda? Na pewno się rozchorujesz.

- Boli mnie? Będę chora?

Maszyna zakołowała nad dziedzińcem. Babcia wstała, kładąc rękę na ramieniu Nory. W tym momencie, biegnąc z przeciwnych stron, pojawili się Katie i Jack.

- Nie ma nic lepszego - stwierdziła babcia - niż mieć dziecko, które chwyta wszystko w lot.

- Myślałam, że nie zdążę się pożegnać - powiedziała Katie. - Byłam na górze... sprzątałam łazienkę...

Jakie okropne kłamstwo, pomyślała. Płakałam, ot co. Co mam zrobić z tą rodziną? Jeśli dam mu palec, chwyci całą rękę. A jeśli nie dam, może sobie pójść i znaleźć kogoś innego!

Babcia Lee powiedziała ni stąd ni zowąd:

- Lenorę boli głowa. Bardzo boli.

Wnuczka spuściła głowę i starała się wyglądać nieszczęśliwie.

- To może się jeszcze pogorszyć podczas podróży tym hałaśliwym helikopterem. - Nora, doskonała artystka, uroniła łzę i zatkała uszy. - Lepiej więc będzie dla niej, gdy zostanie tutaj. Kiedy dziecko choruje, nie ma nic lepszego nad opiekę kochającego ojca. - Nora, wpadając w przesadę, udawała, że ma mdłości i przerwała dopiero wówczas, gdy ręka babki na jej ramieniu zacisnęła się mocniej. - Pocałuj mnie, dziecko.

Nora wyprostowała się, babcia pochyliła się lekko nad nią i obowiązek został spełniony. A babcia, znów majestatyczna, zwróciła się do Katie i powiedziała:

- Ty też, dziecko. Możesz mnie pocałować. - Przeobrażenie babci w Jej Królewską Wysokość jak zwykle zaskoczyło Katie, ale wytarła usta chusteczką, pochyliła się nad maleńką damą i spełniła rozkaz.

I wtedy usłyszała jej szept:

- Złap go - powiedziała Jej Wysokość bardzo zwyczajnie. Znow była dobrą, serdeczną babunią.

Katie i Nora obserwowały z werandy babcię i Jacka idących w kierunku helikoptera. Ręka babci zaciskała się na rękę wnuka. Od czasu do czasu Jack kręcił głową, ale oczywiste było, że nie ma szansy nawet na najmniejszy protest.

- Odbiera rozkazy - zachichotała Nora. - Czasami tatuś myśli, że jest głową rodziny.

- A nie jest?

- Zależy, z kim ma do czynienia - odpowiedziała dziewczynka. - Kiedy babcia machnie batem...

- To ciekawe - stwierdziła Katie.

Na schodkach helikoptera głowa rodu wyciągnęła rękę, wnuk ujął ją, ucałował, a potem cofnął się wyprostowany jak struna, skłonił sztywno i odszedł na bok. Ta ceremonia wycisnęła łzę z oczu Katie.

- Miło byłoby być księżniczką, kochanie - powiedziała Katie, trąc oczy.

- Nie wierz w to - odparła Nora. - Może na chwilę, ale nie przez całe życie. Babcia wiele przeżyła. Rewolucje to nie kaszka z mlekiem.

Słyszałam, jak kiedyś tatuś opowiadał, że w 1916 roku rebelianci ustawili ją i jej matkę pod ścianą. Wujek Wania ją wtedy uratował.

Helikopter wzbił się w powietrze i poleciał ku porannemu słońcu.

- Dzięki Bogu - powiedział Jack, wchodząc na werandę i ścierając pot z czoła. - Moja babcia jest...

- Twoją najstarszą krewną - uzupełniła zjadliwie Nora. Spojrzał zaskoczony i przez chwilę zastanawiał się nad jej uwagą.

- Tak - powiedział uroczyście. - Moją najstarszą krewną. A teraz, moje panie, przypuszczam, że powrócimy do normalnego życia. Z wyjątkiem paru spraw sądowych - i tego przekłętego zegara.

- Nie waż się tknąć mego zegara - zagroziła Katie.

- Och, tatusiu - powiedziała skonsternowana Nora. - Głowa mnie boli co i raz więcej. - Żadne z nich, widząc niezadowoloną buzię wchodzącej na schody dziewczynki nie ośmieliło się jej poprawić.

- Prawdziwa mała dama - zauważył, gdy córka poszła na górę. - Jeszcze parę lekcji i będzie jedną z najsprytniejszych dam na Wschodnim Wybrzeżu.

To wystarczyło, aby wzbudzić irytację Katie.

- A kogo takiego znasz - wybuchnęła - kto jest wystarczająco sprytny, żeby ją uczyć?

Rozpoznał niebezpieczeństwo i ochoczo kontynuował:

- Moja babcia, po pierwsze. I moja żona, po drugie.

- Ha! Ciekawe. Znasz kogoś, kto byłby tak szalony, żeby poślubić chorwackiego bandytę?

Podniósł lewą rękę.

- To znaczy, kogoś oprócz ciebie?

- Nie gadaj głupstw! - krzyknęła. „Oprócz ciebie"! Wszystko w niej zadrżało.

- To śmieszne - powiedziała słabo, ale nawet ona słyszała drżenie swego głosu. Uśmiechał się leniwie przybliżając do niej i opierając ciężkie ręce na jej ramionach.

- A teraz słuchaj - powiedział i potrząsnął nią delikatnie. - Mojej babci udaje się trzymać mnie krótko, ponieważ ją podziwiam i szanuję. Przeżyła siedemdziesiąt pięć lat...

- Osiemdziesiąt pięć - poprawiła Katie, czym zasłużyła na kolejne potrząśnięcie.

- A poza tym - mruzczał - to twoje „wszystko wiem” jest dobre u mojej córki, ale nie u żony.

- Winston Churchill powiedział to pierwszy - wtrąciła, czym znów zasłużyła na dwa lekkie potrząśnięcia. No, może nie takie lekkie. Jack był naprawdę dużym mężczyzną.

- Widzę, że to ja muszę cię krótko trzymać, Katie Lovewell. - Stali teraz niemal twarzą w twarz. – Ale myślę, że uda mi się przebić przez gąszcz kłopotów, jak mówimy w Wirginii.

- Jak mówimy w Wirginii? Ty bezczelny włóczęgo! - Chciała powiedzieć coś nieprzyjemnego o jego pochodzeniu, ale zanim udało jej się znaleźć odpowiednie słowa, jego usta znalazły się na jej ustach i, choć walczyła jeszcze przez chwilę, doskonale wiedziała, że bitwa została przegrana.

Katie zamknęła oczy i rozluźniła się w uścisku jego ramion. Przerwał pocałunek i powiedział:

- Powtórz po mnie: kocham cię. - I potrząsnął nią.

- Powtórz po mnie: kocham cię - szepnęła i jego ciepłe, wilgotne wargi znów znalazły się na jej ustach. Trwali tak, aż zabrakło jej powietrza, stopy zdrętwiały, piersi wzniosły się, a zdolność rozumowania zanikła.

- Zawsze uparta - powiedział miękko, kiedy oderwał się od jej ust. -
Walka do ostatniej kropli krwi. Czy tak?

- Tak. My Lovewellowie walczyliśmy, nawet gdy konfederaci się
poddali! To cud, że ktokolwiek przetrwał.

- Żałuję, że nie znałem twego ojca. - Przytulił ją jedną ręką, drugą
gładził jej ciało od piersi do bioder. Zadrżała w oczekiwaniu na dalsze
rozkosze.

- Jestem pewna, że mógłbyś się wiele od niego nauczyć. - Kolejny
pocałunek, po którym zawirowało jej w głowie. Gdy wypuścił ją z objęć,
kolana chwiały się pod nią. Osunęła się na bujany fotel. Po chwili
zmarszczyła czoło.

- Jeśli myślisz, że dzięki tym słodkim słówkom otrzymasz moją
ziemię i wybudujesz na niej stację benzynową, to się mylisz.

- A! Tu cię mam. - Pochylił się i pochwycił ją, ściskając mocno. -
Powiedz, kochasz mnie, czy nie? Żadnych ale. Żadnych wykrętów.
Zrozumiałaś?

- Ja...

Podniósł ją nieco wyżej i delikatnie ugryzł w ucho.

- Tak czy nie? - powtórzył, podrzucając ją w powietrze.

- Cierpię na chorobę morską...

- Tak czy nie? - Upozorował kolejny podrzut. Zaczepnęła powietrza
i przywarła do niego.

- Tak - wyszeptała.

- To już lepiej. Teraz słuchaj. Wyjdiesz za mnie.

- Czy mam wybór? Nie! Nie...

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak.

- Nie możesz się nie zgodzić, bo mnie kochasz?

- Tak.

- A jeśli będę chciał wybudować kopalnię węgla przed tym domem, uśmiechniesz się słodko i przy-kłaśniesz?

Chwila ciszy. Króciutka. Zasady gry zostały przecież ustalone, prawda wyjawiona przed całym światem, a poza tym Jack stał blisko niej i był taki wspaniale męski. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby dowiedzieć się, jak będzie wyglądał następny akt. Trącił ją lekko.

- Tak - powiedziała pospiesznie. - Tak!

- Myślę, że jak na pierwszą lekcję to wystarczy - powiedział. - Dlaczego jesteś taka rozczarowana?

O nie, powiedziała sobie stanowczo. Tego ci nie powiem. Nie urodziłam się wczoraj. Wiem wszystko o układach męsko-damskich. No, może trochę. Czas przypomnieć o prawach kobiet!

- Puść mnie - nalegała i była całkiem zaskoczona, gdy to zrobił. - Po ślubie nie będę niewolnicą. Wierzę, że kobiety też mają swoje prawa i wyobraź sobie, że zamierzam je egzekwować. Kobiety nie są gorsze od mężczyzn!

- Wiedziałem, że będą kłopoty - powiedział, potrząsając żałośnie głową. - Kiedyś w Chorwacji zabiłbym cię za takie słowa.

- Lepiej nie próbuj - rzuciła. - Jesteś zbyt starym Chorwatem, aby sobie poradzić. Jestem dużą dziewczyną!

- Rzeczywiście - odparł, śmiejąc się cicho. - A ja nie wiedziałbym, co robić ze zbyt uległą kobietą. Nie, moja pani. Oczywiście, że małżeństwo jest partnerskie. Ale pamiętaj, w małżeństwie mężczyzna i

kobieta uzupełniają się. Ty musisz się zająć domem, gospodarstwem, dziećmi...

- Jakim domem?

- Tym. Postanowiłem nie budować kopalni na trawniku przed domem. Dzieci mogłyby powpadać do sztolni. Będziemy tu mieszkać. Ty i ja, i Nora, i John junior, i Harry, i Katie...

Był zbyt blisko, żeby chybić. Pocałowała czubek jego nosa i kontynuowała:

- Ale kiedy przyjdzie na świat nasz syn Wania, kupimy telewizor albo będziemy przynajmniej częściej chodzić do kina.

- Wiedziałem, że o tym nie zapomnisz. - Roześmiał się i podrzucił ją znów do góry - i nie złapał!

- O Boże! Jeszcze nie wzięliśmy ślubu, a ty już złamałeś mi kręgosłup!

- No tak - westchnął. - Miałem dobre chęci... bardzo dużo ważysz, kochanie. - Uklęknął przy niej ze współczuciem i zaczął starannie, może zbyt starannie, obmacywać jej ciało. Dotykał kolan, ud, pośladków...

- Nie wyczułem żadnego złamania - mruknął, przesuwając rękę po jej biodrze i wtem zatrzymał się.

- Jak to się zdejmuje?

- Z tyłu jest suwak...

Męczył się przez chwilę a potem mruknął coś, co zabrzmiało jak „o, do licha”.

Katie z trudnością chwyciła powietrze, pocila się, drżała, pragnęła...!

Chwycił ją na ręce i popędził jak szalony w stronę domu. Katie, ciągle drżąca, obrzuciła pełnym miłości spojrzeniem mężczyznę... swego

mężczyznę. Jack sapał pod jej ciężarem, ale nie zamierzał się poddawać. Wpadł do holu, wbiegł schodami na górę i potężnym kopnięciem otworzył drzwi sypialni Katie. Dopiero gdy podszedł do wielkiego łóżka z czterema kolumnami, upuścił ją na sam środek pościania i ciężko odsapnął.

Łóżko było stare, ale sprężyny miało mocne. Katie podskoczyła kilka razy. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Stał obok, z rękami na biodrach i patrzył na nią, bujając się na piętach.

- Kobieto - powiedział srogo - nie waż się śmiać z własnego męża.

- Będę o tym pamiętać, na wypadek, gdybyśmy się pobrali - zaśmiała się cicho.

Opadł na nią całym ciałem. Udało mu się jednak podeprzeć na rękach tak, że jej nie rozgniół, ale tylko przydusił.

- Na wypadek? Do licha. Potrzebujesz nauczki! Zamierzam...

- Mam nadzieję, że zamierzasz - znów się roześmiała.

- Co się tu dzieje? - usłyszeli cieniutki głosik od drzwi. Na progu, z rękami na biodrach i czerwoną z gniewu twarzą, stała Nora.

- Nie waż się skrzywdzić Katie. Ja jej potrzebuję! - Chwila ciszy i wtem na buzi pojawił się radosny uśmiech. - Och! Wiem, co robicie. Robicie dziecko!

- Gdzie, u licha, nauczyłaś się takich rzeczy? - jękał się zaskoczony ojciec.

- Wiem dużo rzeczy - odpowiedziała Nora. - Susie Sandson jest w szóstej klasie - po raz drugi - i ona powiedziała mi, że gdy jej matka i ojciec walczą na łóżku, robią właśnie to. Czy to nie wspaniałe? - Mówiąc to, pocałowała każde z nich, odwróciła się i wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Jakie masz mądre dziecko - szepnęła Katie, rozpinając guziki jego koszuli.

- Mamy - gderał. - Ale jeśli pójdzie i zadzwoni, żeby opowiedzieć o wszystkim babci, stracę dobrą reputację.

- Czy może to zrobić? - Na twarzy Katie wystąpiły nagle rumieńce.

- Może - odpowiedział Jack Lee. - Ale... - zawahał się. - W końcu, jeśli i tak mamy popsutą opinię, dlaczego byśmy nie mieli...?

- Myślałam, że nigdy się nie zdecydujesz - jęknęła Katie. - Spieszmy się! W tym okręgu połączenia międzymiastowe są automatyczne!

RS